

Prenumerata w Warszawie:
 Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie „ 3 „ 50
 Kwartalnie „ 1 „ 75
 Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Cena pojedynczego numeru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi i w Cesarstwie:
 Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie „ 4 „ 50
 Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:
 Rocznie 12 guld. — 18 m.
 Półrocznie 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kantor Redakcyi po kop. 10 za wiersz petitowy lub za jego miejsce. Reklamy po kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Ułatwienie parcelacyi, przez J. L. Popławskiego.
 Współzawodnictwo i współdziałanie, przez J. K. Potockiego.
 Mieszczanstwo i rzemieślnicy, przez d-ra H. Biegeleisena.
 Inny świat, czyli czwarty wymiar przestrzeni, przez F. Jabłczyńskiego.
 Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.
 Głosy: Oburzenie „Ziarna”. — Wskrzeszenie projektu. — Sprawy kolejowe. — List p. Hiszpańskiego. — O emigracyi. — Taniść wódki. — Dowcip wielkomieszczański. — Z prasy.
 Z kraju, przez J. Nieborskiego.
 Korespondencyja: z pow. dynaburskiego, przez Echo.
 Przegląd społeczny: Płock, Lublin, Siedlce, Sosnowice, Łuck, Łomża, Wilno, Mińsk gub., Petersburg.
 Przegląd polityczny.
 Kronika literacka.
 Kronika powszechna.
 Odpowiedzi od redakcyi.
 Ogłoszenia.
 Odcinek: Angielka, kartka z podróży, przez C. Walewską.
 W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Glińskiego. (Ciąg dalszy).

Od redakcyi.

Nowoprzybyli prenumeratorowie otrzymają bezpłatnie, za zgłoszeniem się, początek powieści „Z zakutego grodu” K. Glińskiego, pierwszy zaś zeszyt „Instytucyj kościelnych” nabywać mogą po cenie niższej — kop. 30, zarówno w Warszawie, jak i na prowincyi.

Polecamy szanownym czytelnikom naszym świeżo wydane dziełko p. t.

GAWĘDY EKONOMICZNE

Przełożył i uzupełnił
Zygmunt Heryng.

Cena kop. 30.

Jest to popularny wykład całej ekonomii politycznej, dostępny dla szerokich kół.

Prenumeratorowie prowincjonalni *Głosu*, sprowadzający książkę wprost z redakcyi, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Ułatwienie parcelacyi.

Mówiąc o działalności Banku włościańskiego w Królestwie, zaznaczaliśmy niejednokrotnie przeszkody nie pozwalające rozszerzyć jej do właściwych rozmiarów. Sprawa usunięcia tych przeszkód nabiera szczególnej doniosłości dziś zwłaszcza, kiedy ruch emigracyjny ujawnił konieczność parcelacyi, jako

najsukuteczniejszego może środka przeciwdziałania wychodztwu.

Ustawa Banku obwarowuje akt nabycia ziemi przez włościan wielu zastrzeżeniami i formalnościami, spełnienie których wymaga dosyć długiego przeciągu czasu. Formalności te są potrzebne, zapewne nawet niezbędne, o usunięciu ich bez zmiany ustawy mowy być nie może, ale zaradzić jakoś temu trzeba, bo inaczej Bank włościański operacyj swych na szerszą skalę nie rozwinie.

Niedawno *Warszawskij Dniownik* zamieścił artykuł, w którym dowodzi, że miejscowe oddziały Banku powinny mieć większą samodzielność. Obecnie wszelkie transakcje muszą być zatwierdzone przez główną radę Banku w Petersburgu, co pociąga za sobą nieraz, wobec przeciążenia instytucyi tej mnóstwem spraw, długą zwłokę. Słusznie powiada *Dniownik*, że „zaoczne rozpatrywanie i ocenianie warunków kupna i sprzedaży jest po prostu niemożliwe”, staje się więc zwyczajną formalnością. Czynności Banku zresztą zależne są od warunków miejscowych, które określają charakter transakcyi. Nieraz niepodobna nawet w referacie piśmiennym warunków tych dokładnie przedstawić.

Nadanie samodzielności oddziałom Banku niewątpliwie byłoby bardzo pożądanem, chociażby z tego względu, że skróciłoby znacznie czas od chwili zawarcia przez włościan umowy z właścicielem ziemi do zatwierdzenia tej umowy i usunęłoby sporo uciążliwych, a nawet dosyć kosztownych formalności. Ale *Dniownik* sądzi, że to nie wystarczy, należy więc jeszcze Bankowi przyznać prawo *samodzielnego nabywania gruntów*, oraz pozwolić *gminom kupować ziemię*, z prawem częściowej odprzedaży jej pojedynczym gospodarzom.

Takie jednak rozszerzenie zakresu działalności Banku wymagało by zasadniczej zmiany ustawy tej instytucyi. Czy zmiana taka jest możliwą? Zapewne, o ile potrzeba jej pilna zostanie w sferach rządowych uznana, w każdym razie jednak, jak zaznacza *Kraj*, „nie może być dokonana na poczekaniu, a w normalnym porządku prawodawczym przeciągnie się lata całe”.

Nabywanie gruntów przez gminy mogłoby być dokonywane bez żadnej zmiany w ustawie, ale wymagałoby znowu zasadniczej reorganizacyi gminy. Nie o to chodzi, że gmina nie posiada odpowiednich funduszków, ale że jest nie przygotowaną do spełniania takich czynności. Prawnie byłoby to zupełnie możliwem, ale od chwili stworzenia gminy nowego typu, t. j. od chwili uwłaszczenia

włościan charakter jej uległ w praktyce znacznym modyfikacyjom.

Dzisiaj gmina jest przede wszystkim, a bodaj nawet wyłącznie — jednostką administracyjną i nie prowadzi własnego gospodarstwa finansowego, nie ma do tego wcale odpowiedniej organizacyi. Trzeba by więc najpierw pomyśleć o przekształceniu samej gminy, a raczej o dopasowaniu jej organizacyi do nowych zadań. Czy to jednak dałoby się z łatwością uskutecznić — sądzić nie możemy.

Zresztą gromada, która prędzej aniżeli gmina może być uważana za jednostkę zbiorową, posiada właściwie prawo nabywania gruntów, a jednak, zdaje się, nie było wypadku korzystania z tego prawa w szerszych rozmiarach.

Z tych względów piszemy się na zdanie, przez *Kraj* wygłoszone, że kiedy o szybkie działanie głównie idzie, trzeba starać się o stworzenie instytucyi, pośredniczącej między nabywcami a Bankiem. Zdanie to popieramy tem chętniej, że już przed dwoma laty szczegółowo i z naciskiem mówiliśmy o konieczności założenia takiej instytucyi — towarzystwa lub banku parcelacyjnego — nie dla konkurencyi z Bankiem włościańskim, ale dla poparcia jego działalności. Stworzenie takiej instytucyi „nie spotkałoby w obecnej chwili trudności nieprzewidywanych”, jak zapewnia *Kraj*. Możemy dodać, że o ile nam wiadomo, nie spotkałoby żadnych szczególnych trudności, oprócz tej przeszkody, którą niełatwo usunąć — braku funduszków, a raczej braku przedsiębiorczości.

Gdyby instytucya, o jakiej mowa — spółka czy towarzystwo parcelacyjne, pośredniczyła tylko między nabywcami a Bankiem włościańskim, już i w tym szczytym zakresie przyniosłaby znaczny pożytek. Ale działalność jej może i powinna być szerszą i skuteczniejszą.

Włościanie nabywają ziemię przy pomocy Banku stosunkowo dosyć drogo, bo kupują z wolnej ręki. Właściciel, który czekać nie może, ziemi chłopom nie sprzedaje, zwykle więc sprzedają tylko ci, co nie potrzebują się śpieszyć i ceny obniżać. W ostatnich latach, jak wiadomo, ceny ziemi znacznie spadły. Na licytacyjach publicznych majątki idą nieraz za bezcen, często za samą pożyczkę Towarzystwa kredytowego. Bywają nawet wypadki, że Towarzystwo staje się właścicielem dóbr, bo nabywców niema. Otóż, zadaniem spółki parcelacyjnej powinno być przede wszystkim nabywanie tej kategorii majątków a następnie odprzedawanie ich chłopom

przy pomocy Banku włościańskiego, na dogodnych dla nich warunkach, a z pewnym zyskiem dla siebie.

Sprzedawane na licytacji majątki dlatego idą tak nisko, że są zazwyczaj zniszczone, jak dziś mówią—zdevastowane. Prywatny nabywca musi więc mieć znaczny kapitał na nakłady. Ale dla nabywców włościan dewastacja majątku jest sprawą obojętną. Majątek zdevastowany—to taki, w którym uprawa gruntów jest zaniedbaną, inwentarza nie ma, lub jeżeli jest, to nieliczny i lichy, budynki zniszczone, maszyn i narzędzi brak. Ale wszystko to chłopu niewiele obchodzi, bo on budynki do reszty rozbierze, grunta podzieli i sposób uprawy zmieni; maszyn i narzędzi w większych gospodarstwach stosowanych używać nie będzie, wreszcie inwentarz własny zaprowadzi. Temu potrzebną jest tylko ziemia, wszelkie zaś ulepszenia gospodarcze, które cenę jej podnoszą, są dlań zbyt ciężkim ciężarem. Zapłaci on za nią drożej, aniżeli dać może nabywca, który chce prowadzić gospodarstwo folwarczne, a pomimo to kupi taniej, niż obecnie kupuje.

Otóż zadaniem spółki byłoby majątki takie nabywać, pożyczkę Towarzystwa spłacać, grunta parcelować i dla nabywców włościan pożyczkę bankową wyrabiać. Potrzebny jest na to kapitał dosyć znaczny, ale znaczny mógłby być również zarobek. Dzisiaj są już spekulanci, którzy czynności tych na własną rękę dokonywają i niemiłosiernie obdzierają chłopów, tymczasem instytucja zadawalniałaby się skromnym ale pewnym zyskiem. Korespondent nasz suwalski zapewnia, że żydzi za wyrobienie chłopu pożyczki Towarzystwa w sumie 1,500--2,000 rubli, biorą nie raz po 300 rubli wynagrodzenia! Faktorzy tacy, jak to już zauważono w guberniach zachodnich, za wyrobienie pożyczki w Banku włościańskim lub tylko za pośrednictwo przy sprzedaży majątku z pewnością tak samo obdzierać będą chłopów.

ANGIELKA

KARTKA Z PODRÓŻY.

Droga do G. prowadzi wzdłuż łożyska górskiego potoku, z obydwóch stron którego rysują się łańcuchy gór, pokrytych świerkowymi lasami.

Minawszy długą wieś o szeregu murowanych budynków, willi z ogrodami, ślicznych zajazdów, skręcając cokolwiek w bok, spostrzega się dwie wieżyczki małego piętrowego pałacyku, zawieszzonego na stoku wzgórza, które wylania się pojedynczo z pomiędzy całego szeregu wierzchołków jednej prawie wysokości.

W miarę zwrotów drogi, na prawo lub lewo wieżyczki rosną albo maleją, nikną albo ukazując się każda oddzielnie z odsoniętą częścią to frontonu, to bocznych części pałacyku o ścietym łupkowym dachu, o szeregu okien jednakowej wielkości, ustawionych w równej linii, odbijających słońce jaskrawymi smugami. Pałacyk, zawieszony jakby sztucznie na pochyłości, zdaje się opadać w dół, spychany podmuchem wiatru wiejącego od strony szczytów.

Na kwadrans przed przybyciem do G. pałacyk znika nagle, zlewając się z potopem willi, rozsypanych po stokach gór.

Jedne z nich, murowane, białe, błyszczą

Ma więc spółka parcelacyjna zadanie doniosłe i pożyteczne, nie mówiąc już o tem, że działalność jej normowałaby poniekąd cenę ziemi, bo przeszkodziłaby spekulantom nabywać za bezcen na licytacjach majątki. Może ten wzgląd prędzej niż inne zachęci ludzi, posiadających odpowiednie wpływy i środki do podjęcia starań w celu stworzenia tego rodzaju instytucji pośredniczącej. Bank ziemski w Poznaniu, którego zadania analogiczne są w wielu punktach z zadaniami Banku włościańskiego, doszedł do przekonania, że takie instytucje pośredniczące są konieczne, wskutek czego powstały dwie spółki ziemskie, rozwijające się pomyślnie.

Chwila obecna, powtarzamy, jest właśnie odpowiednią dla podjęcia starań w tym kierunku. Emigracja do Brazylii zwróciła uwagę sfer rządowych na położenie włościan małorolnych i bezrolnych i wykazała, że parcelacja jest bodaj jedynym skutecznym środkiem przeciwdziałania wychodztwu. Wszelkie więc usiłowania, mające na celu ułatwienie włościanom nabycia ziemi, liczyć mogą na poparcie, tym bardziej, że jednocześnie mają one na względzie rozszerzenie zakresu działalności Banku włościańskiego.

J. L. Poplawski.

Współzawodnictwo i współdziałanie.

Herbert Spencer From freedom to bondage. David Ritchie Darwinism and politics. Laurence Gronlund Our Destiny.

II.

Paradoks Spencera, że im lepiej stoją jakieś sprawy społeczne, tem głośniejszymi stają się krzyki o złym ich stanie, ma niby dowodzić błędności sądów opinii, poprawy odnośnych stosunków, oraz niesłuszności utyskiwań. O poprawie stosunków świadczyć to może, lecz nie o błędności opinii.

Autor całkiem niewłaściwie węzłami przyczynowości połączył dwa te zjawiska: poprawę

w słońcu, miganąc to na prawo, to na lewo. Inne, ciemno brązowe, drewniane, wzniesione naksztalt szwajcarskich, przy całej swej lekkości zdają się strzedz milczącą powagą tamtych, wesołych, uśmiechniętych, podających frontony swe promieniom światła. Wszystkie chwieją się na pozór, jak domki z kart, na nierównej przestrzeni ustawione; wszystkie staczają się jakoby z wysokości gór ku nizinom, na których wzrasta nagle szereg domków, czystych, białych, otoczonych łąkami lub ogrodami, stanowiących własność kolonistów miejscowych.

Po długim wspinaniu się pod stromą górę, powóz, którym jechałam, stanął przed willą, wzniesioną naksztalt fortecy na wysokim kamienistym podmurowaniu. Dywany miękkiej, w pasy strzyżonej murawy, kłomby róż i akacyj, wodotryski z podrzucaniami przez strumienie wody srebrnymi kulami zdołały taras przed frontonem willi.

Wynajawszy w niej pokój dla siebie, wyjrzałam przez okno, wychodzące nie na piękny taras, lecz na łąkę i na niewielkie, pojedynczo sterczące wzgórze, po za którym ciągnął się ciemny las świerkowy.

Z początku, zmęczona drogą, patrzyłam bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy z tego, co widzę. Naraz wzrok mój uderzyło coś dobrze znajomego. Wychyliwszy głowę za okno, spostrzegłam wyraźnie o kilkaset kroków przed sobą zawieszony na sąsiednim

stosunków i wzmaganie się ostrości sądów. Jeżeli ma być tu związek przyczynowy, to chyba wprost przeciwny temu, jakiego domyślać się każe Spencer: nie krytycyzm wzrasta wskutek poprawiania się stosunków, ale raczej wzmaganie się krytycyzmu na poprawę ich wpływa. Pospolicie jednak, oba owe zjawiska są tylko skutkami innych przyczyn wspólnych: powolnego przeobrażania się warunków przedmiotowych i coraz większego rozwoju społecznej świadomości. „Głośniejsze utyskiwania” poprawie owej towarzyszą istotnie i dlatego, pośrednio, mogą być jej wyrazem; głośniejszymi jednakże stają się nie wskutek tego, że stosunki się poprawiają, ale z powodu, iż dla bardziej rozbudzonej świadomości społecznej, dla żywszych i wyżej rozwiniętych altruistycznych uczuć mniejsze zło może być i bywa bardziej nieznośnym, niżli większa jakaś niesprawiedliwość dla uczuć pierwotnych i uspiętej społecznej świadomości. Jako przykład, weźmy sprawę t. zw. emancypacji kobiet. Dziki obojętnie patrzy na to, jak słabsza od niego niewiasta wykonywa roboty najcięższe. John Stuart Mill z oburzeniem mówi o tem, iż cieszące się już za jego czasów wszelkimi względami towarzyskimi i prawie równouprawnione pod innymi względami kobiety nie mają jeszcze praw politycznych. Nie znaczy to jednak, że John Stuart Mill byłby mniej „głośno” utyskiwał, gdyby jego żona musiała łowić dlań ryby, brodząc po kolana w chłodnej, prawie marznącej wodzie; nie znaczy to, iż wówczas byłby on z położenia kobiet bardziej zadowolonym. Znaczy zaś tylko, że, naprzód, warunki zewnętrzne zmieniły się już o tyle, iż pozwalają ludziom marzyć o większem uniezależnieniu kobiet; że powtóre, dzięki konstrukcyjnej sile idei, zdołali oni wytworzyć sobie takie pojęcie społecznych stosunków, jakich całokształtu otoczenie jeszcze im nie ukazuje, że na koniec, uczucia altruistyczne, a zwłaszcza uczucie sprawiedliwości, spotęgowały się już w ludziach o tyle, iż nietylko nie stają na zawadzie urzeczywistnieniu owych pojęć, ale przeciwnie, jedynie w realizacji ich przedmiotowej znaleźć mogą zaspokojenie swe całkowite.

Nie mniej podstępem, a nie mniej też fałszywym i dowolnym jest spencerowskie określenie wolności i zależności. Kiedy, powiada on, jednostka jakaś znajduje się pod nieosobowym przymusem przyrody, wówczas mówimy o niej, że jest wolną; kiedy zaś podlega przy-

wzgórzu ten sam biały pałacyk o łupkowym ściętym dachu i dwóch ostrołukowych wieżyczkach, który przed godziną najpierwszy zwiastował mi bliskość G. Tylko teraz, w chwili, gdy byłem prawie na jednym poziomie z nim, efekt perspektywicznego złudzenia zniknął: pałacyk nie pochylał się w dół, jak gdyby pędzony ku nizinom podmuchem wiatru, lecz stał prosty, równy, błyszczący w słońcu, mały, jak domek pustelnika. Przestrzeń całego wzgórze oddzielała go od reszty willi, rozrzuconych na pochyłościach szczytów.

Ogarnęła mię nieprzeparta chęć przyjrzenia mu się zblizka.

Zamknawszy swój pokój, zbiegłam szybko na dół. Pół godziny nie upłynęło, gdy już stałam przed pałacykiem, przypatrując mu się.

Tuż obok niego prowadziła droga do lasu, rozchodząc się w dwie strony: jedna z nich była bliższa, lecz mniej jakoby bezpieczna, zasypana grudą kamieni i przecięta ciasnym wąwozem; druga — znacznie dalsza, lecz nierównie pewniejsza, gdyż w przedłużeniu łąki na miedzy pół wydeptana.

Obejrzawszy dokładnie pałacyk ze wszystkich stron, postanowiłam jedną ze ścieżek zapuścić się w głąb lasu.

— Którą jednak wybrać?—myślałam, spoglądając na szeroki pas przestrzeni, w którym rozbiegały się obie.

musowi takiej, co stoi ponad nią, wówczas, odpowiednio do stopnia jej zależności, nazywamy ją: niewolnikiem, pańszczyźnianym sługą, albo wasalem. Określenia te mogłyby dać komus do myślenia, że wszelki stosunek subordynacji jednostki wobec innych jednostek, oraz że wszelki stosunek ulegania jest antytezą wolności. Byłoby to wielkim błędem. Powiedziałbym inaczej: kiedy jednostka jakaś znajduje się tylko pod nieosobowym przymusem przyrody, wówczas nazywamy ją jednostką *dziką*. Jest to wolność, ale, jak się w innych okolicznościach, wyraził pewien krytyk Darwina, jest to „wolność zwierza szalejącego w boru”. Zgromadzenie ludzi jak najzupełniej od siebie niezależnych, nie pozostających ze sobą w żadnym a żadnym stosunku koordynacji lub subordynacji, jest tylko luźną kupą osobników danego gatunku i nie przedstawia nie tylko *społeczności* ludzkiej, ale nawet *stada*. Koordynacja i subordynacja (uwspółrzedzenie i podporządkowanie) stanowią jak najistotniejszy wyraz stosunków społecznych w przeciwstawieniu do stosunków życia dzikiego. O ile wnosić możemy z naszych dziejów ubiegłych, nie było dotąd jeszcze społeczeństwa, w którym by się znajdowała jednostka, podległa li tylko przymusowi przyrody i nie podlegająca nikomu, co „stoi ponad nią”.

W państwach starożytnych królowie i cesarze miewali ponad sobą boga lub bogów, będących wyrazem najwyższych w danej epoce mniemań, uczuć i pragnień ogółu; w republikańskich państwach naczelnicy rządu mieli nad sobą zbiorową wolę jednej albo kilku klas panujących. Można byłoby zauważyć tutaj, iż jedynie koniecznym i oczywistym jest w społeczeństwie stosunek koordynacji; ale, jak zobaczymy za chwilę, koordynacja jednostek jest tylko pewną szczególną formą subordynacji—jest subordynacją wzajemną.

Spencer podstępnie mówi o takich tylko stosunkach zależności, jak: niewolnictwo, pańszczyzna, wasalizm; nie wspomina jednak o takich, jak: urzędy publiczne—państwowe i obywatelskie, jak najemnictwo, jak stanowisko dzieci wobec rodziców, uczniów wobec nauczycieli, hołdowników pewnej idei wobec jej apostoła, członków danej spółki wobec gerenta, tancerzy i tancerek wobec wodzireja, muzykantów wobec dyrektora orkiestry i t. d. i t. d. Innymi słowy, nie zaznacza on tego, iż niema ani jednej sfery *stosunków społecznych*, ani jednej postaci *społecznej* działalności, w których w ten albo inny sposób, w takim lub

innym stopniu nie ukazywałyby się podporządkowanie jednych jednostek innym.

Można pozostawać na stanowisku przez Spencera bronionem, można zgodzić się na określenie jego, iż wolność jest uleganiem li tylko przymusowi przyrody, ale z jednym bardzo ważnym zastrzeżeniem: oto, musielibyśmy rozszerzyć pojmowanie przyrody na jednostkę ludzką do rzędu przyrodzonych czynników zaliczyć ludzką świadomość wogóle, a świadomość społeczną w szczególności. W takim wypadku uleganie „przymusowi przyrody”, niczem nie będzie się różniło od ulegania pewnym wymaganiom społecznego życia, służącym ku utrzymaniu bytu społeczeństw.

Czem jest przystosowanie się w życiu organizmów, tem jest posłuszeństwo w życiu nadorganicznych ustrojów. Przystosowanie się jest posłuszeństwem wobec wymagań przyrody martwej, posłuszeństwo jest przystosowaniem się do wymagań społecznego aglomeratu. To też Gronlund uważa posłuszeństwo za najbardziej zasadniczy pierwiastek życia społecznego, za rdzeń naszej moralności. Nie podobna, mówi on, wyobrazić sobie ani jednego czynu moralnego, któryby nie był aktem posłuszeństwa: słuchamy bądź głosu naszego sumienia, bądź natchnień naszych i uczuć, bądź głosu opinii, prawa lub honoru,—zawsze, postępując moralnie, jesteśmy posłuszni komu albo czemu. Można byłoby odpowiedzieć tutaj, że jednak, słuchając kogoś albo czegoś, nie zawsze bywamy moralni; innymi słowy, można zaznaczyć, że i postępowanie niemoralne zawsze jest aktem jakiegoś posłuszeństwa. Wobec takiego zarzutu należy ściślej określić, że tak powiem, *gatunek* posłuszeństwa moralnego.

Dla każdej ludzkiej społeczności jest to oczywiście uleganie takim wymogom życia, jakich ostatecznym wynikiem będzie powiększenie jej szczęścia. Wymagania, dawniej odczuwane, zrozumiane i zaspakajane, stają się dla nas kierowniczymi zasadami etyki; żądza zadowolenia ich staje się naszą moralnością intuicyjną, naszym sumieniem, naszym instynktem moralnym; zdolność oryentowania się podług ich nakazów staje się naszym moralnym zmysłem. W tem oświeceniu sprawy moralności ukazują się nam, jako potężny czynnik społeczny, mający źródło swe w najdalszych głębiach zachowawczego instynktu jednostki albo rasy i nie mogący nie oddziaływać na losy ludzkości na równi z czynnikami innymi, nie mogący nie rozwijać się i nie potęgować—bądź całkiem samorzutnie, bądź, tem bardziej jesz-

cze — przy udziale świadomości, wskazującej nam źródła potęgi jego i prawa jego rozwoju.

Uleganie przeto, a *respective* posłuszeństwo jest takim samem prawem przyrody w dziedzinie życia społecznego, jak przystosowywanie się w sferze organicznego życia. Patrząc na rzeczy z tego stanowiska, powiemy, że ilekroć tylko dwie jednostki ludzkie połączone są ze sobą jakimś stosunkiem innym, niżli stosunek prostego istnienia obok siebie, ilekroć są ze sobą związane stosunkiem społecznym, zawsze ukazuje się tam cząstkowa albo zupełna subordynacja jednej z nich względem drugiej, częściowe albo zupełne uleganie, częściowe albo całkowite posłuszeństwo. Koordynacja jest owego posłuszeństwa wypadkiem poszczególnym: jest ona bądź *wzajemnem* uleganiem jednostek sobie równych, bądź też uleganiem dwu nierównych jednostek, domagających się w danym stosunku *równej* dla siebie daniny posłuszeństwa. Taka wymiana uległości jest jednak stosunkiem teoretycznym idealnym — o tyle trudnym do urzeczywistnienia, o ile niemożliwością jest znaleźć dwie jednostki zupełnie sobie równe, albo wymierzyć ściśle jednaką dążność uległości stron obu. Innymi słowy—subordynacja wzajemna bardzo łatwo staje się jednostronną subordynacją, w której przewaga posłuszeństwa jest po jakiejś stronie jednej.

Ale, zapytajmy siebie, czem się różni przystosowanie się od posłuszeństwa? Różni się obecnością czynnika nowego, który w przystosowaniu odgrywa rolę tylko przypadkową—czynnika *świadomości*. Być posłusznym—znaczy przystosowywać się *świadomie*. Ze stanowiska przedmiotowego zarówno przystosowanie się jak i posłuszeństwo zawsze jest musowem, t. j. nieuchronnem; ze stanowiska podmiotowego jednak, ze stanowiska naszej świadomości, na jakim przy ocenie zjawisk społecznych stać musimy, posłuszeństwo wtedy tylko każe domyślać się przymusu, kiedy jest mimowolne. Zachodzi przeto pytanie, jakiego rodzaju posłuszeństwo odpowiadałoby Spencerowskiej formule wolności? Oczywiście takie, które w analizie swej ostatecznej byłoby uleganiem prawom przyrody, rządzącym w zakresie społecznego życia. Pod względem podmiotowym musi ono odznaczać się uczuciem wolnego wyboru czynnika, któremu się ulega, brakiem uczucia wszelkiego przymusu; pod względem zewnętrznym, przedmiotowym, musi mu towarzyszyć możliwie największa łatwość zmiany danego

Chwilę trwało moje wahanie. Już miałam zdać się na los szczęścia i iść wprost przed siebie z zamkniętymi oczami, gdy wtem na tarasie przed pałacem, od którego już odchodziłam, spostrzegłam postać wysokiej, szczupłej, siwej kobiety, w gładkiej białej sukni z czarną koronkową zarzutką na głowie.

— Ona wybawi mnie z kłopotu—powiedziałam sobie i przystąpiłam do niej szybko.

Jedną ręką trzymała paletę, którą zasłaniała oczy przed blaskiem jaskrawego południowego słońca, drugą — za pośrednictwem pędzla, który ścisnęła palcami, zakreślała koła i łuki, jak gdyby rzucając w powietrzu szkic zdejmowanego z natury obrazu.

Odgrodzona od niej przestrzenią niskiego i wąskiego żywopłotu, zapytałam po niemiecku, którą drogą najlepiej przejść do lasu?

Ona, upuściwszy pędzel na ziemię, zwiśsiwszy w dół rękę z paletą, spojrziała na mnie mglistymi szaremi oczami, których wyraz uderzył mnie bezbarwnością i jakby ogłupieniem.

Uśmiechnięta, zadowolona z siebie, odparła czystym angielskim akcentem:

— Moja jedna głowa nie wie o tem, jaka droga prowadzi do lasu, a druga... maluje, pani widzi: maluje...

I napowrót, podniósłszy z ziemi pędzel, zastońskiwszy się paletą przed blaskiem słońca, zakreślała koła i łuki w powietrzu, patrząc na najbliższy szczyt, olbrzymi, ciężki, szeroki

u podstaw, wypukły w każdej cząstce swej pochyłości, w każdym wygięciu wierzchołka. Niedarna jego masa o nagiej, odartej z roślinności powierzchni, poorana szeregiem brzd, tworzących rodzaj żłobów, przypominała kadłub wielkiego stonia.

Wystający z jednej strony podnóża, obsadzony po bokach kępami świerków i sosen, naśladował do złudzenia łeb olbrzyma pustyń o rozstawionych szeroko i niezręcznie wachlarzowatych uszach.

Popatrzawszy kilka minut na szczyt, nieznamoma moja odwróciła się i przystąpiła do dużego płótna, rozstawionego na stalugach tuż przy schodach werandy. Spód jego zajmowało kilka zielonych plam, grubo namazanych, nad którymi wznosiły się kontury szarej masy o trójkątnym wrębie podstawy, rozdwojonym na obrazie tak, jak rozdwojone bywają linie przedmiotu, odbitego w pryzmie. Nie spostrzegając jakby obecności mojej, zaczęła mazać wierzchołek, aby nakreślić go następnie tak samo, jak był nakreślony poprzednio.

Uśmiechała się przytem sama do siebie. Odchodząc o kilka kroków od obrazu, to znowu zbliżając się do niego, patrząc na pracę swoją mglistymi bladymi oczami, powtarzała z zadowoleniem głośno:

— Ładnie, ładnie, ładnie!

Kilka chwil stałam, przyglądając się jej. W końcu, nie chcąc być natrętną, a straciw-

szy nadzieję otrzymania od niej jakichkolwiek wskazówek, zawróciłam na prawo, aby najkrótszą drogą podążyć do lasu.

Już zapuściłam się w ciemny wąwóz, stąpając ostrożnie po usypiskach kamieni, gdy wtem usłyszałam za sobą czyjeś pośpieszne kroki i głos, wołający za mną łamaną niemiecką:

— Proszę się zatrzymać, proszę się zatrzymać!

Stanęłam.

Niemłody, szpakowaty już mężczyzna gonił mnie, ostrzegając, abym wyszła z wąwozu, gdzie w szparach, między bryłami wilgotnych, mchem obrosniętych kamieni, gnieździły się jaszczurki i małe, leśne, jadowite żmije, niezbyt uprzejme względem tych, co potracali ich legowiska.

Podziękowałam za radę. Otrzymałszy kilka ważnych objaśnień, pożegnałam nieznamomego i skręciłam na drogę, jaką mi wskazywał. Dotarłszy do lasu, błądząc wśród ciemnych świerków, myślałam o niebezpieczeństwie, którego byłam blisko, o uprzejmości cudzoziemca ostrzegającego mnie przed niem, wreszcie—o przygodach dnia całego. W oczach majaczyła mi wysoka szczupła postać angielskiej, którą widziałam przed chwilą; w uszach brzmiała dziwaczna jej odpowiedź.

— Kto ona?—pytałam sama siebie.

Szereg przypuszczeń obległ moją głowę. Fantazyjowałam wśród leśnej ciszy na temat

stosunku ulegania na inny. Poza tem, czy stosunek ten będzie stosunkiem subordynacji, czy też poszczególnym jej wypadkiem—koordynacją, w niczem nie dotknie on ani szczęścia jednostek, ani przyrodzonych praw bytu, których jedynie będzie wyrazem. Subordynacja jest takim samym stanem równowagi sił niejednakich, jak koordynacja sił równych; dążyć do zniesienia subordynacji (podporządkowania)—znaczy to działać wbrew prawu zachowania energii, znaczy dążyć do tego, aby przyczyna większa nie wywoływała skutków odpowiednio większych.

Spółczeństwo jednostek idealnie egoistycznych, t. j. mających li tylko świadomość własnej jaźni, oraz jej potrzeb, byłoby niemożliwością; byłoby ono zbiorowiskiem wiekuiście unicestwiających się wzajem albo odtrącających się pierwiastków; stan zespolenia, będący najogólniejszym wyrazem życia społecznego, nie mógłby się tam nigdy ukazać. To też nawet Spencer, pomimo nieprzeparłej słabości swej do *laissez-faire'izmu*, nie wyobraża sobie społeczeństwa z takich złożonych jednostek. Jego zdaniem, każdy osobnik danego społecznego aglomeratu winien osiągać wszystkie skutki cech swoich dobrych, z jedynym zastrzeżeniem nie wdzierania się w podobne prawa osobników innych. To „powinien” jest tylko sformułowaniem jednego z zasadniczych warunków wspólnego pozycia, mającego prowadzić całe skupienie do szczęśliwości możliwie największej. Najgłówniejszem więc zastrzeżeniem co do prawowitości naszych postępów jest to, iżby nie gwałciły one praw innych jednostek, iżby nie szkodziły innym. W praktyce przeto wszystko sprowadza się do dwu zapytań: czy dany postępek jest szkodliwym i jak się o szkodliwości jego dowiedzieć. Twierdząca odpowiedź na pytanie pierwsze pozwala nam nie tylko potępić wszelką na pozór najbardziej niewinną i prawowitą czynność, ale, nadto, jeśli wierzymy w etyczny postęp całego aglomeratu — dokonywający się w moc wiadomych nam, nieuchronnych praw przyrodzonych — pozwala utrzymywać, że wcześniej lub później czynność owa zostanie ze społeczności wyeliminowana.

Pozostaje pytanie drugie—jak się o szkodliwości danego postępków dowiedzieć. W najprostszych stadyjach walki o byt, przy sporadycznym tylko i krótkotrwałym stykaniu się niewielu jednostek, szkodliwość naszych działań dla przeciwnika jest bezpośrednim i oczywistym skutkiem stosunków bezpośrednich; ale

już nawet w bardziej zawiłych wypadkach walki w świecie organicznym oczywistość i bezpośredniość szkody znika zupełnie, ustępując miejsca szkodliwości pośredniej i tak dalece niewidocznej na pierwszy rzut oka, że tylko specjalne badanie danej sfery stosunków wykryć ją może. Przekonamy się o tem, biorąc klasyczny przykład Darwina—stosunku liczebnej ilości starych panien w danej okolicy do... urodzaju koniczyzny. Stare panny chowają koty; koty niszczą myszy polne; mysz polna żywi się robakami, podgryzającemi korzenie roślin—ztaąd zależność urodzaju koniczyzny od obecności starych panien. Rzecz jasna, że w rozwiniętych społecznościach ludzkich zawiłość i pośredniość stosunków, a ztaąd pośredniość ewentualnej szkody, wyrządzonej innym przez nasze postęпки, jest nieskończenie większa. Jedynie tylko gruntowna i rozległa znajomość danej sfery stosunków może dopomagać nam w oryentowaniu się co do prawowitości naszego postępowania w tej sferze; ale już nawet taka znajomość nie pozwoli wyrokować, czy poza sferą postęпки nasze odbijają się echem dodatnim, czy też ujemnym; do tego potrzebną jest znowu znajomość wzajemnych ustosunkowań sfer kilku. Naturalnem jest, że podobna znajomość nie może jednakowo cechować jednostek rozmaitych, oraz, że dążenie do nadania przewagi jednostce, ze stosunkami nie obeznanej, nad jednostką znającą dobrze jedną albo więcej sfer stosunków, równałoby się dążeniu do oparcia bytu społecznego na podstawach antyspołecznych — na podstawach, pozwalających sądzić li tylko o bezpośrednich i oczywistych następstwach bezpośrednich stosunków życia dzikiego.

Na mocy wiadomego już nam zachowawczego instynktu ras i jednostek, w społeczeństwie wzajemne stosunki osobników wcześniej lub później ułożyć się będą musiały w taki sposób, że każda jednostka ulegnie prawom przyrodzonym, mogącym prowadzić cały aglomerat do szczęśliwości coraz większej. Uległość ta wyrazi się jako świadome i dobrowolne posłuszeństwo jednostek o mniejszej skali znajomości stosunków albo o mniejszem nateżeniu uczuć dodatnich — względem jednostek o skali i nateżeniu większem. Jeżeli, jak tego chce Spencer, wolnością nazywany taki stan rzeczy, kiedy jednostka znajduje się li tylko pod nieosobowym przymusem przyrody, to znajdziemy łatwo, iż członkowie społeczności, w powyższy sposób zrównoważonej, będą o wiele wolniejsi: lepsze przystosowanie się do wymagań życia

społecznego pozwoli im nie odczuwać zbyt częstych i zanadto brutalnych ciosów dzikiego życia. Będzie to, w rozbiorze ostatecznym, również uleganie li tylko nieosobowym wymaganiom przyrody w sferze takiego życia, gdzie czynnik świadomości ludzkiej w grę wchodzi; ale, dzięki właśnie owemu czynnikowi, zniknie już potrzeba ciągłego odczuwania przymusu, gdyż przystosowanie się lepsze z jednej strony, zaś możliwość przewidywania z drugiej—nie pozwoli jednostkom przekraczać co chwila takich praw przyrodzonych, których pogwałcenie kończy się albo śmiercią osobnika, albo też przymusowem poddaniem go całej surowości skutków tegoż pogwałcenia.

W przyszłym artykule zobaczymy, czy Spencerowski szemat *laissez-faire'izmu* odpowiada zasadniczym wymaganiom życia społecznego, czy też jest on tylko sprzężeniem dwu sprzecznych wymagań: życia dzikiego, oraz życia w społeczeństwie.

J. K. Potocki.

Mieszczanstwo i rzemieślnicy w poezji ludowej.

(Dokończenie).

Znaną jest w Poznańskim satyra ludowa, zaczynająca się od słów: „Poszedł szewiec na rynek kapustę kupować, wleciała mu mucha w ucho, kazał ją ćwiertować”, a kończąca się delikatnem wezwaniem: „a wy szewcy, kuśnierzowie, proszę—nie kradnijcie!”¹⁾ Waryjant tej satyry zestawia szewca ze swinią: „idzie za nią szewiec, zdjawszy czapkę, i o szczecinę prosi”, na co otrzymuje od niej grubijanką odpowiedź, której tu powtórzycie niepodobna²⁾.

Lud zazdrości młynarzom łatwego zarobku, co wyraża najlepiej kujawiak, śpiewany w Poznańskim³⁾.

Niemasz ci to jak młynarzom,
Bo na słońce nie wylażą,

¹⁾ „Przyjaciel ludu”, 1837, rok III, nr. 44.

²⁾ Kolberg: „Lud poznański”, XII, str. 306, nr. 607.

³⁾ Kolberg: „Lud poznański”, XIII, str. 125, nr. 266.

„białej damy”, która miała w sobie coś tajemniczego.

Wychodząc z lasu, na skrócie drogi, której kazał mi się pilnować nieznanomy mój doradca, usłyszałam czyjeś kroki. Podniósłszy głowę, spostrzegłam jego samego.

— Pani nie zbłądziła? — zapytał mię tą samą łamaną niemczyzną, jaką przed godziną ostrzegął, bym wyszła z wąwozu.

— Dobra rada i życzliwe słowo były przewodnikami chroniącymi kroki moje od błędnych zawrotów rozdroży,—odparłam, ściskając wyciągniętą ku mnie dłoń cudzoziemca.

Schodziliśmy razem wąską ścieżką, prowadzącą między szeregami świerków na dół, ku niewielkiej, gęstej murawie usłanej polanie.

Towarzysz mój przedstawił mi się jako doktor i jedyny opiekun lady Rowlin, owej białej damy, która przed chwilą właśnie tak bardzo zaprzętała mój umysł.

Od lat dziesięciu przyjeżdżał z nią stale do G. dla powietrza dwutysięcznostopowej wyżyny, które pokrępięło chorą; od lat dziesięciu zamieszkiwali jeden i ten sam biały pałacyk, zawieszony na pochyłości wzgórze.

— Czy chce pani poznać historję mej pacjentki? — zapytał mię po półgodzinnej dorywczej gawędzie na temat uroczego położenia i właściwości zalet G., jako miejsca kuracyjnego.

Odpowiedź moja brzmiała, naturalnie, potwierdzająco.

Usiedliśmy na pachnącej murawie polany. Oparta plecami o pień jednego ze świerków, otaczających łączkę nakształt ciemno-zielonej koronkowej firanki, słuchałam powolnych miarowych zdań doktora.

Ze słów jego, jak również z urywków dziennika lady Rowlin, który wpadł mi w ręce następnie, powstała na kartkach podróznego mego notatnika krótka historyja jej życia.

Jenny Price nie miała matki: straciła ją w chwili przyścia na świat. Będąc jedynaczką, wychowywana przez ojca i starą piastunkę, Helenę, którzy długi czas stanowili jedyne jej towarzystwo, przywykła do częstych samotnych rozmyślań. Nieraz całe dnie schodziły jej na jednej długiej zadumie, w ciągu której zdawała się jakby zadrzemana: nikt i nic nie mogło jej wówczas rozerwać, pobudzić do weselości.

Była bogata i ładna. Do serca i ręki jej, zaledwie skończyła lat szesnaście, wzdychały zastępy młodych ludzi, odznaczających się bądź stanowiskiem lub talentami, bądź pochodzeniem z tytułowanych starożytnych rodów. Długi czas Jenny, buntowana przez trzy stare i brzydkie kuzynki, które dowodziły jej, iż panny—bogate jedynie, dzięki majątkowi swemu, znajdują tak zwane „partyje” — dawała wszystkim odpowiedzi odmowne.

Z dwudziestu mężczyzn, którymi wzgardziła w przeciągu lat czterech, żaden nie oszalał z rozpaczy, żaden nie zabił się, nie otrut. Jedni, nazajutrz po otrzymanym od niej koshu, zwracali afekty swoje ku przyjaciółkom jej lub dobrym znajomym; inni ukazywali się na balach publicznych, zadowoleni, jak gdyby nie spotkało ich żadne przykre przejście; jeszcze inni wreszcie odzywali się do osób trzecich:

— To i lepiej, iż miss Jenny Price dostanie się nie mnie: kapryśna, nerwowa żona, a skandal przez całe życie—to jedno...

Jenny uchodziła w opinji świata za kapryśną i nerwową, ponieważ skłonna była do płaczu i niezawsze lubiła mówić; ponieważ ukazywała się w towarzystwie, na balach i rautach tylko wtedy, kiedy miała wyraźną ochotę po temu; na całe miesiące zaś zamykała się w domu, jeżeli napadał ją bezprzy czynowy smutek, to, co nazywała „krwawieniem się duszy”...

Nie spotykając na drodze swego życia uczuć prawdziwej miłości, Jenny utrzymywała się coraz mocniej w przekonaniu, iż panna bogata kochaną być nie może, gdyż każdy podchodzący do niej mężczyzna myśli nie o niej samej, lecz o listach zastawnych, złożonych na jej imię w banku; patrzy nie na nią, lecz na brylanty, jakie ma na palcach, w uszach...

C. Walewska.

(D. c. n.)

Tylko siedzą sobie w chłodzie,
Każą na się robić wodzie,
Tylko siedzą na młynicy,
Wyglądają, gdyby wilcy.

W Kieleckiem dodają do tej zwrotki:
Wódka (woda) robi jak poddana,
Na młynarza i na pana.
Wódka robi, póki może,
Aż młynarza zapomże.
Wódka robi we dnie, w nocy,
Na młynarkę i na dzieci.
Wódka robi, póki leci,
Aż ich wszystkich pobogaci.

Lecz i tu nie obędzie się bez krotocwil-
nych żartów w rodzaju takich ośmieszających
stan młynarski sytuacji:

Lata młynarz w koło młyna,
Stargała mu worki świnią,
A młynarka lata, krzyczy
I młynarza miarką ćwiczy.

albo:

Chodzi młynarz wedle młyna,
Wraził rękę do komina,
A młynarka ryczy, kwiczy,
Skacze ręką po młynicy ¹⁾.

Rolnik zazdrości też i owczarom ich lek-
kiej pracy, śpiewając: „Nie masz ci to jak ow-
czarom, bo na zaciąg (pańszczyznę) nie wy-
łażą, tylko chodzą za owcami, podpierając się
lalami (laskami) ²⁾”.

Kupieństwo krakowskie, słynne niegdyś na
całą Europę, okazywało się ludowi przeważnie
tylko ze złej strony; obok kłótności i manii
przeklinania i łajania (t. zw. gębowania) prze-
kówek krakowskich, weszła też w przysłowie
nieneczliwość targu krakowskiego. „Ceni dro-
go—powiadają,—a krakowskim targiem za po-
łowę sprzeda ³⁾”. Lud nasz łączy handel
i przemysł z żydowstwem, uważając te „sza-
chrajstwa” za przywilej izraelskiego plemienia,
odwiecznego przedstawiciela „wolnego stanu”.
Ze chłop mimo to nie jest pozbawiony bynaj-
mniej zmysłu handlowego, tego ciągle daje
dowody przy wyprawianiu na targ przed-
miotów wytwórczości własnej, lub surowych
produktów, których wartość zna dokładnie
i sprawiedliwie ocenić potrafi. Łatwo nato-
miast daje się oszukać przy kupnie wyrobów
fabrycznych, towarów zagranicznych i zbyt-
kowych, z czego korzystają żydzi i kupcy
podczas „przybijania targu” i tym podobnych
„ceregiew” kupieckich, obliczonych na wy-
zyskiwanie chłopu ⁴⁾.

Lud nasz odnosi się nieżyczliwie do sołty-
sów i burmistrzów miejskich, których ucisk
i pycha dały mu się dobrze we znaki. Odbi-
ja to podanie krakowskie, przywiązane do kar-
nawału przekówek, przypadającego w tłusty
czwartek a powszechnie tu „combrem” zwane-
go. Przed czasem bardzo dawnym—jak niesie
podanie, którego historyczność zachwiał już
J. Łepkowski ⁵⁾—żył w Krakowie wójt czy
burmistrz nazwiskiem Comber, który miał sie-
dzibę swoją na przedmieściu krakowskim Pia-
sek. Był to człowiek złośliwy i okrutny, ma-
jący pod swoją jurysdykcją ogrodników i prze-
kupki krakowskie; dokuczał im też bez lito-
ści, karał za najłżejsze przewinienie, targał
ludzi za włosy i dręczył ich, wyciskając srogie
opłaty, tak, iż wielu gospodarzy przyprowa-
dził do ubóstwa, a biedne przekupki do osta-
tniej nędzy. Turma w jego domu zawsze na-
pełniona była ofiarami. „Pan Bóg wysoko,
a król daleko—mawiali nieszczęśliwi,—któż
nas zasłoni przed Combrem!” Jednakże prze-
kleństwa pokrzywdzonych dosięgły pana wój-
ta i w sam tłusty czwartek zmarł nagłą śmier-
cią. Na tę niespodzianą wieść taka radość
ogarnęła ród przekupniów, że rzuciwszy kram-
ny na łup gawiedzi ulicznej, poczuli po całym
mieście tańczyć i wołać z radości: „Zdechł
Comber, zdechł!”. Odtąd lud krakowski uży-
wa wyrazu combryć w znaczeniu targać (za
włosy) ⁶⁾.

Hardy parobczak nie zegnie swych kolan
przed sołtyśową; w poczuciu swej godności
śpiewa:

Nie będę ja tę sołcinę
O córkę prosił, da prosił.
Bo sołcina nie hrabina,
Córa nie pani, nie pani! ¹⁾.

Opowiadają też brzydkie sprawki o „wójtó-
wnie światowej, co dwoje dzieci powiła, a za
panienkę się nosiła”.

Gdy się za karę dostała do piekła obok
swej godnej matuli, taki prowadzą dyjalog,
pełen wzajemnych wyrzutów:

Córka. „Masz ci tam matko jeszcze dwie
[(córki),

Karaj je lepiej niżli mnie”.

Matka. „Ja cię córko karała,
Tyś mnie słuchać nie chciała”.

Wójtówna. „Jakżeś mnie matka karała,
Do kościołaś iść nie dała!—
Do karczmyś mię ubrała,
Jeszcześ za mną wyjrzała:
„Nie tańczujże z ubogim,
Ino z ładnym, chędogim” ²⁾”.

Baśń ludowa rozróżnia biednych od bogatych
rzemieślników, i kiedy dla pierwszych ma
współczucie, jest dla drugich nieżyczliwą i cie-
szy się, gdy ich spotka jakie nieszczęście. Oto
uosobienie tego w klechdzie p. t. „Dyjabeł na
wysłudze” ³⁾. Antykryst (najstarszy dyjabeł),
posłał był młodego dyjabła na próbę, aby ro-
bił ludziom różne psoty. Pierwszą czynnością
zesłanego na ziemię dyjabła było, że bogate-
mu rzeźnikowi, idącemu drogą, który kłął
okropnie, że nigdzie nie, ani nawet cielęcia
kupić dobrze nie może, przemienił on się
w piękne i tłuste cielę, stojące bez właścicie-
la na tracie. Łakomy rzeźnik zarzucił je na
plecy i uniósł, lecz jakież było jego zdziwie-
nie i zmartwienie, gdy po przybyciu do do-
mu w miejsce cielaka ujrzał czarnego, war-
czącego nań psa. Była to sztuczka młodego
dyjabła, za którą uzyskał uznanie i łaskę swe-
go pryncypała ⁴⁾. Nie tak powiodło mu się
w następnym wypadku. Drugą bowiem jego
czynnością było, że garncarzowi, idącemu go-
ścińcem z garnkami na plecach i klnącemu na
swoją ciężar, przemienił się w pniaczek drze-
wa, a gdy o niego chciał garncarz oprzeć swój
ciężar i sam na nim odpocząć, usunął mu się
nagle z przed nosa tak, że biedak upadł
i wszystkie sobie potłukł garnki ⁵⁾. Starszy
tedy dyjabeł zbeszał młodego za to i nakazał
mu wysługiwać się garncarzowi przez pewien
czas, aż mu szkody nie wróci i sownie go za
to nie wynagrodzi. „Bo pamiętaj durniu—były
końcowe napomnienia dyjabła starszego—że
nie na tom cię posłał, abys biednym robił psoty,
ale bogatym”.

Baśń krakowska z lubością opowiada, jak to
trzej złodzieje, przebrani za świętych, oszukali
i okradli bogatego młynarza ⁶⁾, albo jak to
z trzech braci młynarczyków, choć jeden z nich
wyszedł na pana a drugi na króla, obaj ze-
szli na żebraków dla nieludzkiego obchodze-
nia się z swym ojcem, którego się wstydzili,—
a jak trzeci, choć biedny, ale poczciwy, doro-
bił się majątku ⁷⁾.

Świat kupiecki przedstawia się z najgorszej
strony w klechdzie o dumnym i cheiwym kup-
cu Złotolubie ⁸⁾. Był sobie kupiec tak bogaty,
że na złotych talerzach jadał, na srebrnym
łożu sypiał, w miedzianym pałacu mieszkał,
tak jednak bogactw był niesyty, że na tem,
co miał, nie przestawał, ciągle więcej a wię-
cej pragnął, jeździł więc kupczyk w odległe
kraje, z kąd z ogromnemi skarbami powracał.
A serce miał tak kamienne, że się nigdy nad
biednym nie zlitował, nikogo w potrzebie nie
wsparł, żadnej wdowy ani sieroty nie przytu-

razu „comber”, porównaj Kolberga: „Lud”, V, 261,
w uwadze.

¹⁾ Kolberg: „Lud poznański” XIII, str. 100,
nr. 192.

²⁾ J. Konopka: „Pieśni ludu krakowskiego”,
str. 115.

³⁾ Kolberg: „Lud” (krakowski), VIII, str. 165,
nr. 68.

⁴⁾ Kolberg: „Lud”, seryja VII, str. 43, lit. b. i c.

⁵⁾ Kolberg: „Lud”, seryja VII, str. 44, lit. d.

⁶⁾ Kolberg: „Lud”, VIII, str. 182—5, nr. 77.

⁷⁾ Kolberg: „Lud”, VIII, str. 107—114, nr. 43.

⁸⁾ A. J. Gliński: „Bajarz polski”, tom III, str.
172—189, nr. 10.

lił. Nawet o własną rodzinę nie dbał, gdy
szło o interes, i choć młoda i ładna żona, z pół-
roczną córeczką, jak aniołek, na rękę, błagała
go, aby pozostał, on pojechał kuńczyć bez za-
łu, skwapliwie, bo go nadzieja i żądza zysku
wabiła. W podróży zatrzymał się z koniecz-
ności przy ubogiej chatce, gdzie mieszkała nę-
dza. Gospodarz w gorączce na śmiertelnem
leży łożu, brzemienna gospodyni w boleściach
jęczała, przy niej krzątała się staruszka w łach-
manach, a pięcioro drobnych dziatka z głodu
i chłodu skwierczy. Złotolub spojrzawszy oboje-
tnem okiem, a unikając, aby go nie poproszo-
no o co, wyszedł natychmiast z chaty i sta-
nawszy przed odemkniętymi drzwiami, rzekł
do siebie: „Po co takiej hołocie żenić się i ty-
le mieć dzieci; pięcioro w pół nagich jęczy
w głodzie, a szóste urodzi się zapewne i na
jaką dolę, na ciężką pracę i nędzę”!

Gdy to mówił, usłyszał głos proroczy, za-
powiadający mu, że rodzący się w tej chacie
chłopczyna będzie kiedyś mężem jego jedynej
córki i dziedzicem jego skarbów, tym sposo-
bem bowiem chce Pan Bóg ukarać nieludzkie-
go kupca, wynagrodzić poczciwego i znanego
z miłosierdzia gospodarza, owego biednego
ojca narodzić się mającego dziecka. Po dłu-
gich przygodach spełnia się przepowiednia, a
biedny znaledek staje się dziedzicem Złoto-
luba, rozporządzając majątkiem jego na cele do-
broczynne i humanitarne.—Opływające w do-
statkach życie żony bogatego kupca maluje
pieśń poznańska w kontraście do biedny dżw-
czyzny wiejskiej w następujących słowach ¹⁾:

1. Już minęły tamte lata, ach ja biedna,
Kiedym była u swej matki sama jedna!
2. Dawniej jam do żniw chodziła od dnia do
[dnia,

Dzisiaj jam żoną i panią kupca z Wiednia...

4. Dawniej było na obiadek groch z kapustą,
Teraz pieczeń jest skopowa, kaczka tłusta.

5. Do kościoła pieszom biegła, mnie wołają,
Dzisiaj niech zakrzyknę, tupnę—zaprzęgają.

6. A pan tatuś na mnie burczał, a jam drżała,
Teraz siedzę na kanapie pani cała.

7. I w gościńcu (w karczynie) tańcowałam ober-
[tasa,

Dzisiaj w salonie z ładnym chłopcem kontre-
[dansa.

8. Dawniej było „dana, dana”, dziś z francuska:
„Chodź tu lokaj, chodź tu bona, pościel łóż-
[ka i t. d.”

Klasową różnicę między biednym szewczy-
kiem a zamożną córką kupca, kochających się
wzajemnie, mimo przeszkód stawianych przez
niegodziwą rodzinę kupcową, uzmysławia poda-
nie górali beskidowych „o córce jednego sklep-
nika”, która, zmuszona do małżeństwa z boga-
tym kupczykiem, umiera, dochowując wiary
swemu kochankowi, lecz wskrzeszona do życia,
porzuca męża i wychodzi za szewczyka, z któ-
rym po ciężkiej próbie żyje szczęśliwie ²⁾.

Wprost w przeciwnym świetle przedstawia
baśń krakowska kupców, która, zakochaw-
szy się w panicy, umiera z miłości. Zmar-
tychwstawszy, zaślubia panicza, lecz nie do-
trzymałszy mu wiary, ucieka z generałem.
Pierwszy małżonek jej (ów panicz), za namo-
wą kupcowej rozstrzelany a potem do życia
wskrzeszony, wraca do niej, „a poznawszy złą
żonę, znika z nią kajś”, zapewne do piekła ³⁾.

Chciwość i łakomstwo kupca karze bajka o
zaczarowanej górze, opowiadana w Krakow-
skiem i w Poznańskiem, tej oto treści: Był
raz biedny szewc, który, przyprowadzony do
ostatniej nędzy; nosił się z myślą obwieszenia
się, kiedy już wlaźł na wysoką sosnę, aby
sobie odebrać życie spostrzegła ludzi, którzy
przyjechali z brykami i skądąją skradzione
towary do skały. Po ich odjeździe złazi szewc
z sosny i nabiera sobie pełen worek pień-
dzy. Brat jego dumny i nieludzki kupiec,
dowiedziawszy się o tem, spaja braciśka wi-
nem i wyłudza u niego całą tajemnicę. Umó-
wili się, że pójdą razem do zaczarowanej skały
kryjącej owe skarby kradzione. Chciwy je-
dnak kupiec, chcąc jak najwięcej zagarnąć

¹⁾ Kolberg: „Lud poznański”, XIII, str. 7, nr. 8
(piesenka miejska).

²⁾ Dr. Wł. Kosiński: w „Zbiorze wiadomości do
antropologii”, tom VII, str. 4—7, nr. 68, porównaj
podanie nr. 72, tamże str. 14—17.

³⁾ Kolberg: „Lud” (krakowski), VIII, str. 210,
nr. 86.

¹⁾ Kolberg: „Lud kielecki”, XVIII, str. 187,
nr. 345a.

²⁾ Kolberg: „Lud poznański”, XIII, str. 125,
nr. 266.

³⁾ Kolberg: „Lud krakowski”, V, str. 27, nr.
20—2, porównaj str. 83.

⁴⁾ Kolberg: „Lud”, V, str. 188.

⁵⁾ J. Łepkowski: „Przegląd krakowskich trady-
cyj”. Kraków, 1866, str. 39.

⁶⁾ Pszczółka krakowska 1820, I, 110. Co do wy-

pieniędzy, poszedł sam, bez brata na oznaczone miejsce, lecz zapomniawszy nazwać górę, został opadnięty przez złodziei i za karę rozciętowany¹⁾.

Dr. Henryk Biegeleisen.

INNY ŚWIAT

czyli

czwarty wymiar przestrzeni

(z powodu książki A. T. Schofielda, Warszawa 1891. Z angielskiego tłómaczył F. Wermiński).

Celui, qui en dehors des mathématiques pures prononce le mot „impossible”, manque de prudence. La réserve est surtout un devoir, quand il s'agit de l'organisation animale.

Arago. Oeuvres. Paris 1854 t. II, s. tr. 313

Poszczególnym objawem powszechnej anarchii rynku, wynikającej z braku należytej organizacji podaży i popytu, jest sposób zaspakajania naszych potrzeb umysłowych.

Jesteśmy społeczeństwem żyjącem przeważnie tłómaczeniami z piśmiennictw obcych: w tej sferze import ogromnie przeważa miejscową produkcję, pociągając za sobą wszystkie tego skutki. Dalej, jesteśmy społeczeństwem, które niechętnie czyta i, jako takie, niema wyraźnych, wyrobionych potrzeb pod tym względem, nie są one dość dobrze uświadomiane: wskutek tego potrzeby te występują niejako nieokreślenie. Te rynki, które posiadamy—czasopisma—nie odbijając w sobie stanu społeczeństwa, w bardzo słabym stopniu ukazują nam jego potrzeby.

Regulowanie importu, a więc wybór rzeczy, które mają być tłómaczone i wydane, spoczywa u nas w ręku ludzi prywatnych i pociąga za sobą wszystkie skutki, które z tego wypływają; a więc plody obcej kultury dostają się do nas nierównomiernie: jedne rzeczy z tej samej dziedziny zostają tłómaczone, inne nie; zjawiają się dzieła nie najbardziej wartościowe, ale zapewniające najwięcej zysków prywatnemu przedsiębiorcy. Teoryje naukowe przychodzą do nas w strzępkach, kawałkami; później wydane książki dostają się wcześniej; przytem nie są to rzeczy oryginalne, lecz zwykle zpopularyzowane, zmienione, przykrajane do gustów mas.

Rzecz prosta, że winy nie można tu składać na wydawców: są oni tylko wyrazicielami pewnych społecznych nienormalności, których przyczyn obecnie rozbiierać nie możemy.

Temu właśnie smutnemu losowi uległa teoryja wielowymiarowości przestrzeni i odnosnych zagadnień, wraz z silnie z nią związanymi zjawiskami spirytystycznymi lub medyunistycznymi, jak je niektórzy nazywają. Teoryja, wyprzedzając fakty, zjawiała się na zachodzie już przed stukilkudziesięciu laty, zakiełkowała niewyraźnie w głowie Berkeley'ego, wzmocniła się, przeszedłszy przez głęboki umysł Kanta, ztamtąd, kształtując się i rozwijając w dalszym ciągu, przeszła do Gaussa, Riemana, Zöllnera, zyskując w osobie tego ostatniego nietylko pracownika, ale i popularyzatora. Równocześnie, niezależnie od tych uczonych, Łobaczewski matematyk, profesor uniwersytetu kazańskiego, swą niewielką pracą (Geometrische untersuchungen zur Theorie der Parallellinien. Berlin 1840) położył podwaliny nowej teorii, dał impuls do całego szeregu prac w dziedzinie matematyki czystej, teorii poznania i t. d.

Z drugiej strony przez pewien czas, niezależnie od teoretycznych spekulacji, mnożyły się coraz bardziej różnego rodzaju dziwne fakty, przeczące prawom takim, jak niezniszczalność, nieprzenikliwość materii, zasada zachowania energii, prawa ciężenia i t. d.—fakty, ogólnie znane pod nazwą zjawisk spirytystycznych.

Zjawiska te, prawdopodobnie stare jak świat,

początkowo pozostające w rękach ludzi nieinteligentnych, profesjonalnych spirytystów, sztukmistrzów i t. d., stopniowo zaczynają interesować ludzi nauki, dostają się pod ich ścisłą kontrolę, stają się przedmiotem badań naukowych: co raz to częściej nazwiska ludzi, którzy położyli w nauce niezaprzeczone zasługi, zaczynają się łączyć ze spirytyzmem i, co dziwniejsza, wszyscy ci, którzy chcieli czy mogli bliżej zapoznać się z odnośnymi faktami, uznali je za rzeczywistość, nie podlegającą żadnym wątpliwościom.

Spirytyzm i teoryja wielowymiarowości przestrzeni spotkały się z sobą po raz pierwszy w umyśle Jana Karola Fryderyka Zöllnera, profesora astrofizyki uniwersytetu lipskiego. Przy tej okoliczności stał się fakt, który zwykle należy do rzadkich w dziedzinie życia umysłowego ludzkości: teoryja poprzedziła i przewidziała zjawisko. Zöllner, opierając się na hipotezie wielowymiarowości przestrzeni i płynących stąd dedukcyj, doszedł do wniosku, że pewne zjawiska istnieć muszą i znalazł je później w postaci objawów spirytystycznych zupełnie w tej formie, w jakiej je teoryja przewidziała.

Już sama ta zgodność kwalifikuje odnośne badania do rzędu rzeczy, które zasługują na bliższe i poważniejsze ich rozpatrzenie, na zapoznanie z nimi szerszego ogółu czytającej publiczności.

U nas, niestety, mają o tem bardzo smutne wyobrażenia: nic dziwnego. Z całej kwestyi do nas dostały się tylko strzępki pod postacią książki Gibier'a „Spirytyzm”, wydanej w roku 1890, oraz książeczki, której tytuł i rok wydania umieściliśmy w nagłówku niniejszego artykułu¹⁾.

Pierwsza, jest to utwor więcej sensacyjny, niż naukowy, obliczony na efekt, w rodzaju „Świata duchów”, gdzie idzie raczej o możliwość wielkie zainteresowanie czytelnika, o wywołanie wrażenia, nie zaś o zapoznanie go z kwestyją; nie wybrano tam faktów najprostszych, najbardziej pewnych, ale właśnie najbardziej skomplikowane, niepewne, najbardziej jaskrawe. Rzecz prosta, że książka ta nikogo ani przekonać, ani nauczyć nie mogła.

Więcej już zalet posiada książeczka A. T. Schofield'a. Główną jej zaletą jest popularny, choć niewszędzie ścisły wykład własności elementów geometrii: punktu, linii, płaszczyzny, ciała, oraz stosunków, pomiędzy niemi zachodzących. Opierając się na tych analogiach, autor określa w dalszym ciągu własności przestrzeni i ciał czterowymiarowych. Ułatwia sobie to zadanie, rozpatrując je, jako istoty myślące i czujące różnych wymiarów, analizując, określa sferę dostępnych im pojęć, obserwacji, granice ich świata, potem przedstawia cały szereg konsekwencji, następujących przy zeknięciu się tych istot o różnych wymiarach. Rozpatrzywszy kolejno stosunki istoty linijnej z płaską, płaskiej z trójwymiarową—człowiekiem, stara się na zasadzie tych analogii określić stosunek człowieka do istoty czterowymiarowej i jako rezultat otrzymuje zjawiska, podawane przez obserwacje spirytystów, a więc znikanie ciał, zjawianie się istot z innego świata, głosy płynące ztamtąd i t. d.

Książka zyskałaby tylko, gdyby autor w tem miejscu pracę swą zakończył. Niestety, czwarty wymiar i geometryja były tylko środkami do... „podniesienia entuzjazmu umysłów wierzących, do osłabienia materjalizmu skrajnego”. Polecając zatem czytelnikom wyżej wymienione dziełko, spróbujemy, o ile na to pozwolą szczerze rozmiary artykułu, zapoznać ich z głównymi punktami teorii i z potwierdzającymi je zjawiskami.

Nie powinniśmy przeoczyć dwóch zasadniczych twierdzeń Kanta: 1) oprócz świata naszego, istnieje jeszcze świat absolutny, świat rzeczy samych w sobie, 2) w naszej świadomości istnieją dwie kategorie pojęć: jedne z nich noszą cechę konieczności, drugie są wynikiem doświadczenia—rzeczy *a priori* i *a posteriori*.

Rozpatrzmy teraz, jak się nam wobec tego przedstawi nasze pojęcie o przestrzeni, oraz jej własnościach.

Naprzód przestrzeń, którą za pomocą zmysłów postrzegamy, nie jest czemś istniejącem

jako samo w sobie: powstała ona wskutek oddziaływania na nas czegoś, mianowicie absolutnej przestrzeni, oraz właściwości naszych zmysłów i mózgu, zatem jest pojęciem względnym, wypływającym z naszej psychicznej organizacji, oraz właściwości tej absolutnej przestrzeni.

„To rzeczywiście istniejące, mówi Kant, którego istota jest nam nieznana, stanowiąca zewnętrzną przyczynę naszych zwykłych wyobrażeń o przestrzeni, jest właśnie przestrzenią absolutną”.

Dalej, ponieważ w naszej świadomości tkwią zarówno rzeczy *a priori*, konieczności, jak i *a posteriori*, t. j. nabyte drogą doświadczenia, przeto być może, że i w naszym zwykłym pojęciu przestrzeni znajdują się, oprócz pojęć apriorystycznych, koniecznych, rzeczy, które zostały nabyte drogą doświadczenia—nie mające tej cechy konieczności, nie wypływające z naszej psychicznej organizacji, co do których możemy mieć wątpliwość, czy one w rzeczywistości muszą być takimi, jakimi są, czy też przeciwnie—mogłyby być innymi.

Wątpliwość ta po raz pierwszy ukazała się w geometrii, jako nauce o przestrzeni. I oto, zjawia się wyżej zacytowana praca Łobaczewskiego, w której autor twierdzi, że aksyjomat: jeżeli dwie linije równoległe przetniemy trzecią, to suma kątów wewnętrznych równa się dwóm prostym—aksyjomatem nie jest; przeciwnie, uważa je za twierdzenie, niedostatecznie dowiedzione, nie uważa go jako sąd koniecznościowy, lecz jako rezultat doświadczenia. Wątpliwości te nasuwały się już samemu Euklidesowi: w swej geometrii poświęcił on wiele miejsca na dowodzenie prawdziwości tego aksyjomatu, podczas, gdy aksyjomatem może być tylko takie twierdzenie, które jest oczywistem, nie wymaga dowodzenia, lecz wydaje się nam prawdziwym zawsze i wszędzie.

To, co stanowi nowość u Łobaczewskiego, jest wymazanie z geometrii aksyjomatu o liniach równoległych i staranie się zbudowania geometrii, która powinnaby była istnieć, jeśli geometryja Euklidesa nie jest prawdziwą. Łobaczewski nazwał ją geometryją wyobrażalną. Neguje ona twierdzenie, że suma kątów w trójkącie równą jest dwóm prostym; utrzymuje, że może być większą lub mniejszą od 180°, że wypadek, kiedy bywa im równą, jest jednym szczególnym wypadkiem, tak samo jak i cała Euklidesowa geometryja jest tylko specjalnym wypadkiem ogólniejszej, wyobrażalnej geometrii.

Elementami jej: punkt, linija, powierzchnia, ciało, ciała cztero- i więcej wymiarowe. Stosunki między niemi rozpatrywane są w przestrzeni absolutnej, bezwymiarowej, a właściwie, mającej nieskończoną ilość wymiarów.

Drugą kwestyją, która podkopała dotychczasowe pojęcia o przestrzeni, była symetria ciał.

Co to są ciała, a w ogóle—figury symetryczne? Prawa i lewa ręka, dwie połówki np. filiżanki, rozkrajanej przez środek wzdłuż uszka, są względem siebie symetryczne. Każde ciało, każdy kształt daje w lustrze symetryczne odbicie. Dwie takie figury posiadają równe objętości, odpowiadające sobie kąty, płaszczyzny, kanty równe; oba kształty równają się sobie pod każdym względem; jedno ich różni: żadne z nich nie jest w stanie zająć tego samego miejsca w przestrzeni, co drugie.

Weźmy przykład. Z lewej ręki robimy formę gipsową. Po wyjęciu jej, w formie pozostaje pewna część przestrzeni, ściśle odpowiadająca, tak co do objętości jak i pojedynczych wymiarów modelowi. Spróbujmy teraz włożyć w tę formę prawą rękę. Pomimo tego, że obie ręce będą najzupełniej równe sobie, prawa w żaden sposób nie będzie mogła pomieścić się w odcisku, zostawionym przez lewą.

Przyzwyczailiśmy się, więc wydaje się to nam naturalnem. Inaczej się kwestyja przedstawia po głębszem zastanowieniu i wychodzi wówczas na jaw sprzeczność, której w żaden sposób pojąć nie jesteśmy w stanie.

Sprzeczność tę jasno widzieli Kant, Gauss i Łobaczewski, oraz ich następcy. Dwie rzeczy są zupełnie sobie równe, a więc muszą się wzajemnie zastępować w przestrzeni,—tak mówi rozum, tak chcą zasadnicze prawa naszego myślenia, które uznają to za konieczność. A jednak doświadczenie, zmysły—mówią nam co innego: pomimo zupełnej równości, prawa

¹⁾ Kolberg: „Lud krakowski”, VIII, str. 84, „Lud poznański”, XIV, str. 137—142, porównaj rzadki przykład szlachetności syna kupieckiego, tamże, XIV, str. 179—181.

¹⁾ Przed kilku dniami ukazała się też praca A. Wallace'a o zakroju bardziej filozoficznym. (Red.)

ręka nie jest w stanie pomieścić się w części przestrzeni, zajmowanej poprzednio przez lewą.

Sprzeczność tę można było z góry przewidzieć. Skoro w naszej świadomości są elementy koniecznościowe i empiryczne, musimy natrafić na takie zjawiska, które nie zgadzają się z naszym pojęciem o przestrzeni, które nie tkwią w naszej organizacji, i jako takie, będą się nam wydawały jako niemożliwe, nieprawdopodobne.

Symetria ciał jest zjawiskiem tej właśnie kategorii: nie nosi ono na sobie znamion konieczności, jest sprzecznym z zasadniczymi naszymi pojęciami, a więc jako takie, wymaga potwierdzenia, następnie objaśnienia. Co do pierwszego postulatu, to dawno już wiadomo, że symetria ciał jest faktem. Pozostaje drugie: objaśnienie jej.

Tu właśnie zaczyna się kwestyja czwartego wymiaru. W krainie tę wstąpiono nie odrazu, ale przez analogię, przez analogię objaśniano także symetrię ciał. Dlatego też i my musimy się trzymać tej drogi. *F. Jabłożyński.*
(D. n.)

BEZ OBLUDY.

Zamiast przedmowy brak faktów. — Potrzeba filozofowania. — Pogrzeb naturalizmu.

Zdawałoby się, iż obowiązkiem jest społeczeństwa zameldować się raz na tydzień w każdej porządnej redakcyi i przynieść jej feljtoniście „wiązaną faktów z życia”. Zdawałoby się, że jest przywilejem feljtonisty powiedzieć za to społeczeństwu kilka mniej albo więcej gładkich impertynencyj i — o ile nie wzięt już zaliczki z góry — otrzymać w zamian honorarium. Tymczasem społeczność nasza pozwala sobie niekiedy prowadzić takie życie, że feljtoniści, nie dostając należnej im „wiązanek faktów”, muszą zadawałab się rachunkiem pamięciowym, ile byliby otrzymali, gdyby się udało im znaleźć materiały do feljtonu.

Weźmy tydzień ubiegły. Czy zdobył się ktokolwiek na „nadużycie pokładanego w nim od lat tylu zaufania”? Czy który z rymotwórców próbował „nosić się z myślą” stworzenia poematu o końcówkach, któreby nie były ani żeńskimi ani żeńskimi? Czy pomyślał kto rzetelnie o popełnieniu „potwornej zbrodni”, czy urządził kto podstępne bankructwo dla dobra krajowego przemysłu, czy zdołano kogo nakłonić, aby udawał zdemaskowanego agenta brazylijskiego, czy wogóle któremukolwiek z reporterów udało się pochwycić „żywsze tętno” życia „naszego grodu”. Jedno rozpaczliwe *nie* — musi być tutaj odpowiedzią. Zdarzyła się wprawdzie romantyczna śmierć na emmentarzu, ale gdzieś aż na Węgrzech; Modrzejewską wywołymano po trzecim akcie sześć razy, ale — aż w Pradze czeskiej, Bismarkowi przysłano trzy tysiące listów na urodziny, lecz działało się to (tymczasem jeszcze) w Niemczech, nakoniec, anglikom urządzono powstanie, ale tak daleko, że żaden z naszych *bagulów* nie podjąłby się tam zawieźć któregośkolwiek z „korespondentów specjalnych”. Czytelnik ani się domyśla, jak za to wszystko odpokutuje. Oto, zamiast mówienia mu mniej albo więcej gładkich impertynencyj za „żywsze tętno”, będą musiał ciężko filozofować.

Błądząc chciwem okiem (kierownicy opinii, istoty podniosłe i bohaterowie dramatów patrzą zazwyczaj nie oczami, lecz „okiem”) po *Kuryerach*, natrafiłem na ciekawe sprawozdanie o niedoszłym pogrzebie *naturalizmu*. Rzecz działa się we Francyi, ale, po staremu, zajmują umysły tych wszystkich, co uważają siebie za przedstawicieli dobrego tonu, cywilizacyi i niektórych przywilejów innych. Grono symbolistów, dekadentów, neoidealistów i t. p. zgromadziło się tłumnie w jakiejś knajpie paryskiej z zamiarem zaproponowania staremu *naturalizmowi*, aby się przeniósł w stan spoczynku, tudzież z zamiarem okrzyknięcia, jeśli się da, jakiegoś nowego kacyka artystycznej twórczości. W obronie zagrożonego starca ozwał się Goncourt i Zola, mówiąc do młodych w sposób mniej więcej następujący: „Lube smyki, przestańcie miauczeć nie mam nic przeciwko

temu, aby naturalizm podał się do dymisy; przesłużył już lat 50, t. j. tyle, ile każdy porządny kierunek literacki służyć powinien, i w grudniu może załatwić rachunki z księgarzami. Ale cóż wy dajecie wzamian? Nieznajomość gramatyki oraz świadome gwałcenie jej przepisów, trochę dziwactw rymotwórczych, sporo zapału, wiele dobrych chęci, parę utarczek ze zdrowym sensem — są to wszystko materiały dość cenne, ale kierunku nowego one nie stworzą. Ostatnia powiastka moja rozeszła się, tak samo jak i inne, w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, pozwólcie mi więc, że w oczekiwaniu, aż wasze zaczną się tak rozchodzić, napiszę sobie jeszcze jakie romansidło”.

Nigdy ani w teorii, ani w praktyce nie miałem uznania dla naturalizmu; gdyby nie wstyd przed p. Zapolską, wyznałbym, że z liczby prawdziwie „naturalistycznych” utworów Zoli przeczytałem tylko jedną powieść całą i drugiej połowę. Przykro mi jest jednak, gdy widzę, jak chmara literackich łobuzów szczypie go za pięty, wyobrażając sobie, że nietylko *pragnie* czegoś lepszego, niż naturalizm, ale, że już owo lepsze uszyła czy upiekła.

Naturalistyczny kierunek piśmiennictwa był o tyle potężnym i tak wyrazistym przedstawicielem swojej epoki, o ile obecne krzyki symbolistów są jeszcze słabym i niejasnym wyrazem swojej.

Ze sfery nauk przyrodniczych Darwinowska teoria walki o byt, doktryna dziedziczności i naturalnego doboru, z zakresu filozofii pozytywistyczna manija grzebania się w konkretnych szczegółach, z dziedziny społecznego życia — rozpasane współzawodnictwo jednostek, umożliwione przez nieład kapitalistycznego rynku, a osmielane przez teoretyków i apostołów *laissez-faire* yzmu — wszystko to — z niesłychaną wyrazistością skrytykowały się było w artystycznej twórczości pisarzy naturalizmu. Zbyt obfitym był pokarm duchowy epoki, aby przedstawiciele jej mogli go przetrawić, zbyt sprzeczne spotykały się tam ze sobą pierwiastki, aby ze skojarzenia ich nie miały się lęgnąć potwory albo kreacje ułomne, jednostronne. Pomimo to wszystko jednak — a raczej właśnie dlatego — trudno byłoby o kierunek bardziej pouczający, bardziej wydatnie przedstawiający własną swoją genezę — niż naturalizm. Widzimy tu zjawisko, podobne do objawów hypnotyzmu. Parę pokoleń zahypnotyzowała jedna lub druga idea nowa, niezwykła, a pod jej wpływem cała postawa umysłowej twórczości ludzkiej ułożyła się zaraz odpowiednio, cała artystyczna świadomość wpadła w zaczarowany krąg poddanych sobie wyobrażeń.

Pod wpływem manii pozytywistów — zaczęła ona, nie dowierając jasnowidzeniu intuicyi artystycznej, gromadzić i oglądać poszczególne „dokumenty” życia, co dawało powieściom pozor lustratorskich spisów inwentarza i rejestrów gospodarskich. Pod działaniem teorii Darwinia ludzie jej zaczęli miauczeć, szczeleć, ryczeć, gryźć, łączyć się w bandy „sezonowe”, zupełnie jak zwierzęta. Pod naciskiem idei wolnego współzawodnictwa w stosunkach społeczno-ekonomicznych, oraz za sprawą broniących jej socjologów, poczęła ona odtwarzać wszystkie konwulsyje nędzy w oniskach „wolnej konkurencyi, wszelkie rozbewstwienie zbytku, będącego owej nędzy bratem przyrodnym, z tej samej matki konkurencyi, ale z innego ojca — z kapitału, nie zaś trudu, zrodzonym.

Ale, z biegiem czasu zmieniły się idee i warunki życiowe. W idei rozumiano naprzód, w życiu zaś odczuto możność pełniejszego, więcej ogarniającego pojmowania walki o byt, możność przeobrażania się jej z pojedynczych zapasów osobników na walkę gromad, zespołnych wewnątrz siebie węzłami kooperacyi. Współzawodnictwo jednostek, jako niższa postać walki o byt, ustąpiła już miejsca współubieganiu się grup, jednostki w grupach zjednoczyła we współdziałaniu, a samorzutna, rozpedowa siła idei z przesłanek tych wysnuwa już wnioski dalsze, wyobraźnia spostrzega już chwilę, kiedy grupy, złączone takimiż więzami współdziałania, przestaną walczyć ze sobą, kiedy społeczna walka o byt przybierze postać zapasów całej ludzkości z przyrodą martwą. Pozytywizm w dalszym rozwoju swym, w umysłach zwłaszcza angielskich swoich przedstawicieli, doszedł do uznania i uzasad-

nienia prawowitości intuicyi na równi z innymi sposobami działania ludzkich umysłów. Uwydatnienie i bliższe zbadanie wprowadzonych już przez Darwina czynników świadomości do sfery stosunków ludzkich pozwala przewidywać epokę zupełnego prawie wygnania „zwierzęcia” z ludzkich ustrojów; szersze rozumienie działań doboru naturalnego daje możność modyfikowania, a nawet usuwania skutków dziedziczności. Bliższe zbadanie przyrody i metod twórczości naukowej wskazuje, iż jest ona i była zawsze największą idealistką, że istnieć mogła i utrzymywać się li tylko pod warunkiem pozostawienia jej prawa abstrahowania, a więc idealizowania i symbolizowania konkretnych objawów rzeczywistości, że, tem samem, artystyczna twórczość, jako mniej ścisła, o fotograficzne odtwarzanie kusić się nie może, a pokusiwszy się, nie wyrze wrażenia życiowej prawdy na duchu ludzkim, który za pomocą swych zmysłów fotografować nie może i nie umie.

Ale wszystkie te prawdy przez gromadę francuskich oponentów naturalizmu ani zrozumiane jeszcze nie były należycie, ani odczute. Są tam tylko przebłyski innego pojmowania rzeczy, innego ich odczuwania. Zwiastują one nadejście epoki nowej, ale prawdziwych artystycznych apostołów swoich epoka ta jeszcze nie wydała.

Maryjan Bohusz.

GŁOSY.

Oburzenie *Ziarna*. — Wskreszenie projektu. — Sprawy kolejowe. — List p. Hiszpańskiego. — O emigracyi. — Taniósć wódki. — Dowcip wielkomiejszczański. — Z prasy.

— (a.) *Ziarno* z wielkim oburzeniem woła:

„Czyż jest słowo, czyż jest w mocy ludzkiej wyrazić to, co czuje się i doznaje po przeczytaniu czegoś podobnego!... Nie! Uczucie oburzenia, pogardy silniejszym jest, paraliżuje mowę niemal zupełnie... Wobec ogromu zbrodni — siły nasze zasłabę się wydają, aby jak należy napiętnować zbrodnię powyższą...”

Jakaż to zbrodnia została spełniona, co to oburzenie znaczy? zapyta zdumiony czytelnik.

A no, nic wielkiego się nie stało. W Kaliszu, jak wszędzie, w Wielki piątek i sobotę kwestują damy. Otóż, jak pisze *Rola*:

„Jeden z wybitniejszych... przedstawicieli tutejszego kaliskiego „postępu”, chcąc przyjąć godnie kwestarki, w refektarzu Sióstr Miłosierdzia, łączącym się bezpośrednio z kaplicą, w której urządzony był grób Chrystusa, zastawił wytworne śniadanie, złożone z ostryg, homarów, z wszelkich możliwych i niemożliwych delikatesów, wzmocnionych całami bateryjami koniaków, węgryna i szampańskiego”.

Być może, iż dla osób pobożnych było to niewłaściwem, a nawet przykrem, ale zbyt namiętni gorliwcy, którzy podnoszą dziś wrzask taki, powinni wiedzieć, że *refektarzem* nazywa się w klasztorach sala jadalna. *Przeгляд katolicki*, trapiący nieprawości liberałów i radykałów, powinien to *Roli* i *Ziarnu* dokładnie wyjaśnić i wogóle powstrzymać zbyt gwałtowne zapędy tego rodzaju ultra-katolików.

* * *

— (p.) Niedawno zjawiła się w kilku piśmie wiadomość, że projekt otwarcia w Częstochowie szkoły ogrodniczej został zaniechany. Tymczasem, jak zapewnia *Kuryjer Warszawski*, właściciel ogrodu, dr. fil. Karol Zawada, który otrzymał od ministerjum pozwolenie utrzymywania szkoły ogrodniczej, otwiera takową w połowie września r. b.

Uczniowie odrazu przyjmowani będą na kurs pierwszy lub drugi, rozumie się, jeżeli zdadzą odpowiedni egzamin i przedstawia świadectwo z praktyki ogrodniczej.

Szkoła ma być zamkniętym internatem, nauka będzie udzielana bezpłatnie, koszta zaś utrzymania ucznia wyniosą 120—150 rs. rocznie. Wykłady, według programu, ściśle wiążąc się będą z zajęciami praktycznymi.

Zarządzający szkołą jest przyrodnikiem, ale oprócz studyjów uniwersyteckich odbywał praktykę w kilku większych zakładach ogrodniczych za granicą.

* * *

— (a) Przed paru miesiącami wyszło rozporządzenie, nakazujące zarządom dróg żelaznych, aby na wszelkie oskarżenia faktyczne, ujawnione w pismach codziennych, udzielały objaśnień. Postanowienie powinno wywrzeć wpływ nader doniosły. Ale niektóre zarządy dróg żelaznych w Warszawie, lekając się, ażeby tajemnic gospodarki ich nie wyświełano, rozesłały okólnik, zawiadamiający, że każdy urzędnik, któremu zostanie dowiedzionem, iż podaje do pism szczegółów dotyczące spraw kolejowych—będzie wydalony ze służby.

Wiadomość tę powtarzamy z innych pism, żałując mocno, że nie możemy wyraźnie nazwać zarządów, które takie okólniki rozsyłają, bo byłoby ciekawem wywołać obowiązkowe „wyjaśnienie”.

Nie trzeba dodawać, że okólnik tego rodzaju jest skierowany ku obejściu prawa, co z treści jego jest aż nadto widocznem.

* * *

— (x) Z powodu zebrania wystawców, na którym uzupełniono komisję reprezentacyjną dla wystawy środkowo-azyjatyckiej, otrzymujemy w imieniu pewnego grona rzemieślników i przemysłowców wyjaśnienie, z wielu względów bardzo ciekawe:

„Dnia 7 kwietnia zwołane było posiedzenie wystawców dla dokładnego odczytania rachunków. Na posiedzeniu miał być p. Wortman, nie należący do reprezentacji wystawy, ale stały zastępca hr. Krasińskiego. Otóż mieli ci panowie wszystkie rachunki uznać za słuszne i interes prowadzić dalej.

Kiedy dowiedziałem się o tym koncepcie, rozpisałem listy do znajomych przemysłowców i ci, przybywszy na posiedzenie, zdecydowali o fackie krzyżujących, ordynarnych nadużyć. Na posiedzeniu byłem w zastępstwie jednego chorego wystawcy i mogę opowiedzieć, jak było.

P. Kossowski, odczytawszy rachunki, powiedział nam, że ma honor i sumienie, że go oczerniają niesłusznie, wreszcie dodał: *Mam nadzieję, że panowie jesteście dobrze wychowanymi ludźmi i oszczędzicie mi robienia wymówek w oczy, gdyż po tem wszystkim, com przeżył, czuję się tak wyczerpanym na siłach, że mógłbym obłożnie zachorować.* Potem oświadczył, że nadal pozostać w reprezentacji nie może. Wtedy p. Wortman krytykować zaczął krzykaczy w gazetach, bezpostawnie oskarżających Kossowskiego, prosił reprezentację, aby została, i odwołał się do zebranych.

Na to p. Jan Temler odezwał się: Nie zapraszaliśmy tych panów do reprezentacji, nie mamy teraz racji ich uwalniać albo zapraszać. Wówczas dziekan Aleksandrowicz zaproponował wybory: Kossowski dostał 1 głos. Wybrani zostali Leppert, Natanson Stan., Wortman, ale tłumaczyli się, że dla zajęć swoich przyjąć wyboru nie mogą. Wówczas zaproponowałem M. Pfejffra i ten po długich wymawianiach się mandat przyjął i dobrze zrobił, bo otwarcie powiedział:

Nie zarzucamy p. Kossowskiemu nadużyć kryminalnej natury, ale że lekkomyślnie szafował cudzym groszem, to stwierdzają szafy na wystawie, za które pobrał 500 rs., gdy są warte 100—120 rubli. Koszt w podróży dziennego utrzymania wynosi 35 rs.—to trochę za suto obliczone, a katalog, o którym poprzednio wrachunku zamilczano, przynosi 808 rs. dochodu. Wydano na druki i papier jakoby rubli 300, ale katalog nie mógł nawet połowy tego kosztować: jest on świstkiem pełnym błędów kompromitujących, np. w ogłoszeniu Konrada Olchowicza napisano, że sprowadza naftowe produkty z Francji(!)

W czasie wyborów poruszono kwestyję, kto wobec braku funduszy będzie łożył na koszt wystawy. Zdania były rozmaite, jednak sądzę, co mówiłem wówczas, że powinien to zrobić hr. Krasiński, bo chociaż p. Keppemu tłumaczył się, że nic o przedsiębiorstwie tych panów nie wiedział, faktem jest, że dał nawet list rekomendacyjny p. Kossowskiemu do Moskwy.

Wiadomo, że przyjęto p. Kossowskiego jako reprezentanta instytucji. Dopiero nasze listy i telegramy do komitetu wystawy w Moskwie sprawiły, że zaczęto traktować go jak zwykłego przedsiębiorcę.

Zatem, jeżeli p. Kossowski dopuszczał się

nadużyć, będąc protegowanym p. Krasińskiego, to ten ostatni za pierwszego teraz zapłacić powinien. Kto zresztą z wystawców płacił za mało, a są tacy, niech dopłaci, a kto płacił za wiele, jak przekonywa rachunek tych 13 ryczałtowo godzących się, z których mojemu wystawcy Piskorskiemu należy się nieuczciwie pobranych 71 rubli—to wszystkim wyzykanym zwrócić należy.

Na to p. Wortman, ani p. Aleksandrowicz słowa nie powiedzieli—i nikt zresztą nie oponował, bo zawsze firma odpowiada za nadużycia oficjalistów, tembardziej, jeżeli specjalnie poleca ich, jako godnych zaufania.

Pisma, zdające sprawę z posiedzenia, o wszystkim tem zamilczały.

W parę dni potem na posiedzeniu nowo wybranej reprezentacji p. Kossowski (co tam robił, jeżeli się zrzekł udziału?) nazwał wybory nielegalnymi, bo zamało było wystawców.

Klika stara się utrzymać p. Kossowskiego chociażby do ukończenia wystawy t. j. do końca roku, aby postawić na swoim, będąc za cenę ostatecznego zdyskredytowania instytucji.

St. Hiszpański.

* * *

— (n) Prawie jednocześnie nadeszły dwie wiadomości, zresztą wymagające jeszcze ścisłego stwierdzenia, że rząd brazylijski cofnął subsydyjum, płacone dotychczas Lloydowi niemieckiemu za przewóz emigrantów, oraz że wychodzący polscy w Brazylii, doprowadzeni do ostateczności, wywołali dwukrotnie tak poważne rozruchy, iż dla stłumienia zaburzeń użyto siły zbrojnej.

Warszawskiej Dniownik przytacza z opowiadania Jana Funka, robotnika cukrowni Hermanowskiej, który niedawno z Brazylii powrócił, takie np. fakty, że w Santa Catharina „trzy rodziny, liczące 7 dusz, powiesiły się, a w Rio Grande do Sul; ojciec rodziny zarzązał żonę, pięcioro dzieci i w końcu samego siebie. Funk twierdził, że nie widział w posiadaniu naszych emigrantów „ani pół morgi ziemi obsianej”, czemu zresztą nie można się bardzo dziwić, bo wychodzący przybyli w znacznej części już po zasiewach, Funk zaś powrócił do kraju przed porą nowych zasiewów. Skarzy się on jeszcze na żółtą febrę, która „nieustannie” panuje. Żółta febra trwa istotnie od grudnia do lutego, t. j. w czasie, kiedy prawdopodobnie Funk przebywał w Brazylii.

* * *

— (p.) Istnieje przekonanie, że tanieść wódki wpływa na rozwój pijaństwa. Tymczasem szczegółowe zbadanie sprawy przekonywa, że pijaństwo nie stoi wcale w ścisłym związku z ilością spożywanej wódki. Mówią o tem wyraźnie dane statystyczne, dane bardzo wiarygodne, dzięki istnieniu we wszystkich prawie krajach dokładnej kontroli państwowej wyrobu i spożycia trunków.

Wykazując konieczność znizienia akcyzy od trunków w Rosyi, *Birżewyja* *Wiedomości* zaznaczają, że „duńczyk wypija corocznie 76 stopni spirytusu i 25 litrów piwa, belgijczyk 43 stopni spirytusu i 162 litry piwa, francuz 37 stopni spirytusu, 23 litry piwa i 103 litry wina,—podówczas gdy mieszkaniec Rosyi, spożywający na głowę zaledwie 25 stopni spirytusu i 4 litry piwa, ulega zarzutowi pijaństwa”.

Pijaństwo zależy przedewszystkiem od sposobu spożywania wódki. Porównanie ilości wypadków śmierci z powodu pijaństwa z ilością spożywanej wódki wykazuje, że najwięcej tych wypadków nie tam bywa, gdzie stosunkowo najwięcej piją, ale, można powiedzieć, odwrotnie, tam, gdzie piją najmniej, w miejscowościach słabo zaludnionych, na wschodnich kresach Rosyi europejskiej, np. w guberniach wiackiej, sibirskiej i t. d.

Dzisiaj jednak wielu lekarzy twierdzi, że nie tylko pijaństwo, ale wogóle nawet umiarkowane spożywanie alkoholu jest szkodliwym, wobec tego zaś podwyższenie akcyzy od trunków staje się dosyć skutecznym środkiem przeciwdziałania.

* * *

(a) Redaktor *Prawdy*, oceniając działalność pisarską Prusa, o *Lalce* pisał dosyć pochlebnie, tymczasem przed dwoma tygodniami p. L. Winiarski w tej samej *Prawdzie* nazywa znakomitą powieść ni mniej, ni więcej tylko—„drobno-mieszcząską ramotą”.

Wielko-mieszcząński p. Winiarski z dowcipem urodzonego szajgęca pokpiwa sobie z „ideału” Prusa: „Bóg i prosty człowiek”. Najprzód w formule tej opuszcza „ziemię”, powtóre, nie znając dobrze języka polskiego, nie rozumie zapewne, że „prosty człowiek” znaczy człowiek z ludu, a więc rzemieślnik, chłop, robotnik i t. d.

Sądzę, że dowcipny autor tego nie rozumie, bo inaczej niepodobna przypuścić, ażeby napisał: „ale co do prostego człowieka, to niechaj nas nieba od niego uchronią” i t. d.

Ponieważ p. Winiarski, nie znając języka polskiego, fałszuje myśli autorów, o których pisze, i kaleczy uszy czytelników, więc lepiej by zrobił, gdyby piśmiennictwo nasze od swoich areydział uwolnił i zaczął wyrażać swe myśli i uczucia w języku innym.

— *Kuryjer Warszawski* pisze:

Ogród botaniczny, który miał być otwarty d. 26 b. m., zostanie uporządkowany znacznie później, gdyż dopiero około d. 10 maja.

Chłody i deszcze, opóźniające wegetację roślin, nie pozwalają na przeprowadzenie robót.

Stara pomarańczarnia w Łazienkach, z powodu niemożności usunięcia roślin, otwartą będzie dla publiczności aż za miesiąc.

Z KRAJU.

Koniec emigracji.—Rozszerzenie działalności inspekcji fabrycznej.—Kilka uwag z tego powodu.—Nadużycia na kolejach.

A więc ustała emigracja do Brazylii — tak przynajmniej twierdzą prawie jednogłośnie korespondenci prowincjonalni ustała właśnie na wiosnę, kiedy spodziewano się nowej gromadnej wędrówki ludu za morze, co nie znaczy jednak, że znikły te przyczyny, które wychodzątwo masowe w roku zeszłym wywołały. Wiele okoliczności złożyło się na przerwanie gorączki emigracyjnej. Bez wątpienia oddziaływała na to w pewnej mierze propaganda ustna i piśmienna, ostrzegająca nieświadomych i obalamuconych; więcej jeszcze zrobiły energiczne środki powstrzymujące, najwięcej zaś może przyczyniły się do zatamowania wychodztwa listy emigrantów i opowiadania tych, którzy powrócili. Wreszcie rząd brazylijski, podobno wskutek rozruchów, jakie wychodzący dwukrotnie wywołali, odmówił towarzystwom przewozowym subsydjów za dostawianie emigrantów, a rząd niemiecki utrudnił znacznie podróz niemającym paszportów. Możemy więc powiedzieć, przynajmniej w obecnej chwili, że tłumna, gorączkowa emigracja skończyła się i zapewne nie powtórzy się w blizkiej przyszłości.

Należy teraz zaznaczyć, że rozmiary ruchu emigracyjnego znacznie powiększono pod pierwszem wrażeniem. Z danych, zebranych przez władze miejscowe, a mniej-więcej zgodnych z cyframi statystyki brazylijskiej, okazuje się, że wyemigrowało z Królestwa, a w części i z sąsiednich gubernij od 20—30,000 ludzi. Nie jest to więc bynajmniej poważna strata, bo nie dochodzi nawet połowy rocznego przyrostu ludności kraju. Nawet właściciele ziemscy, którzy najgłośniej biadali, nie doznają braku robotnika i nie będą zmuszeni płacić drożej za pracę, tak lichą wynagradzaną. Nietyle może ubytek ludności, ile sposób, w jaki emigracja się odbywała, spowodował dosyć duże straty. Szkoda również, że wychodzący w znacznej liczbie zmarnieli lub zmarnieją w Brazylii, a ci, co wróca, straciwszy wszystko, powiększą tylko liczbę biedaków. Bez rozważli przedsięwzięte, na oślep, bez żadnych informacyj zdążające, tłumne, niezorganizowane wychodztwo jest istotnie klęską dotkliwą, ale nietyle dla kraju, ile dla tych biedaków, którzy dali się unieść prądowi.

Niewątpliwie główną przyczyną emigracji były stosunki ekonomiczne, ale gorączkowy, epidemiczny charakter ruchu wskazuje, że ważną rolę odgrywać tu musiały inne jeszcze powódki. Teraz, kiedy obawy wznowienia się wychodztwa minęły, wypadłoby poważnie i gruntownie zbadać ten ciekawy objaw psychiczny, bo ekonomiczno-społeczną stronę spra-

wy już jako - tako wyświetlono. Bardzo znamienny i pouczający jest fakt tej niespodziewanej wrażliwości masy ludowej, tej łatwości wobec podszeptów, które trafiają w takt ukrytych pragnień i ideałów duszy chłopskiej. Agenci brazylijscy okazali się lepszymi psychologami od wszystkich tych, którzy kiedykolwiek, w jakiegokolwiek sprawie do umysłów i serc chłopskich przemawiali. Nawet księża, którzy, jak się wszystkim oraz im samym zdawało, mają na lud wpływ wielki, w porównaniu z agentami okazali się bezsilnymi. Rozumie się, nie trzeba przypisywać agentom jakiejś szczególnej zręczności i przebiegłości, aby to wytłómaczyć. Są oni sami—o ile sądzić można z tych, których wykryto—ludźmi prostymi, ciemnymi, ale dlatego zapewne tak trafnie dobierają argumentów, że przemawiają do zupełnie podobnych sobie. Wielu może z agentów działało nawet w dobrej wierze, mianowicie wierzyło tym wszystkim baśniom o Brazylii, jakie wśród ludu krążyły...

— Dzienniki podały już wiadomość o nowym rozszerzeniu u nas prawodawstwa fabrycznego. Ważniejszym jednak od wprowadzenia nowych ustaw jest znaczne zwiększenie składu osobistego inspekcji fabrycznej. Dotychczas był tylko jeden inspektor w Warszawie i jeden pomocnik w Łodzi, którzy przy największym wyężeniu energii nie byli w stanie podjąć obowiązków prowadzenia szczegółowej kontroli. Obecnie będzie dwóch inspektorów: jeden w Warszawie, drugi w Łodzi, oprócz tego każdy z nich ma mieć po 5 pomocników, t. j. po jednemu na guberniję. Działalność inspekcji fabrycznej w Królestwie pod wielu względami okazała się nader pożyteczną, wzmocnienie więc tej instytucji jest objawem pożądanym.

Oto np. tylko ścisła kontrola inspekcji zmusić może fabryki do przedsięwzięcia niezbędnych środków ostrożności, na co dzisiaj przedsiębiorcy żalują zazwyczaj nawet drobnego wydatku. „W jednej z największych i najstarszych fabryk tutejszych”, pisze korespondent Łódzki *Gazety radomskiej*, „mieściła się gazownia w zwykłej szopie, nieodpowiadającej w niczem koniecznym warunkom bezpieczeństwa; szczególnie dokuczał jej (?) zupełny brak wentylacji. Z tego powodu przed kilku tygodniami nastąpił wybuch, a rozpadająca się ściana zraniła ciężko dwóch robotników”.

Znaczne zwiększenie personelu inspekcji pozwoliłoby może wprowadzić w wykonanie projekt, ażeby we wszystkich sprawach sądowych pomiędzy przedsiębiorcami i robotnikami obecny był inspektor fabryczny lub jego pomocnik, w charakterze eksperta. Głos bezstronny urzędnika państwowego, znającego dokładnie daną sferę stosunków, miałby dla sądu pierwszorzędne znaczenie. Niepodobna dziś wymagać od sędziów, ażeby te stosunki specjalnie znali. Wprawdzie zwykle powołują oni biegłych, ale wybór tych ostatnich niezawsze może być trafny. Eksperti z grona lekarzy łatwiej jeszcze zachowują niezależność, ale inżynierowie i technicy fabryczni, chociaż w sprawie bezpośrednio niezainteresowani, przechylają się zazwyczaj na stronę przedsiębiorców. Inaczej nawet być nie może, boć przecie wady i braki urządzeń fabrycznych w znacznej mierze od inżynierów i techników zależą.

Inspektor fabryczny, obeznany z urządzeniami wewnątrz fabryk i stosunkami robotniczymi, w ogromnej większości wypadków może wypowiadać stanowcze orzeczenie, gdyby zaś pozostawały jakie wątpliwości, wtedy można jeszcze wezwać w miarę potrzeby bądź technika, bądź lekarza, w charakterze biegłego.

Korespondent *Gazety radomskiej* podaje treść dwóch spraw o wynagrodzenie za poniesione przy pracy kalectwo. W jednej z tych spraw, w której ekspertem był inżynier-technik, twierdzący, że wypadek nastąpił wskutek nieostrożności, sąd skarżącemu odszkodowania nie przyznał; w drugiej natomiast, opierając się na zeznaniach eksperta, d-ra Wieliczki, skazał znanego milionera, Izraela Poznańskiego, na zapłacenie robotnikowi Danilakowi 300 rs. odszkodowania. Danilak, jak się okazało, użyty był do tak ciężkiej pracy, że po 8 dniach dostał raptury. Młody p. Poznański, który z wielką paradą rzuca na zakończenie polemiki 25 rs. dla moralnie zaniedbanych dzieci, lepiejby zrobił, gdyby starał się wpłynąć na moralnie zaniedbanych ojców i skłonić ich do wypłaty

poszkodowanym słusznej należności, nie doprowadzając sprawy do sądu. O tego rodzaju sprawach dobrze mówi pomieniony korespondent, p. *Agas*:

„Wszelkie wynagrodzenia bądź strat, bądź należności, wypływające z zobowiązań spełnionych, regulują się bezspornie, z uwagi na stronę legalną pretensji i przez wzgląd na zaufanie publiczne, o którego skali stanowi dobra wiara i rzetelność instytucji tak w stosunkach jej zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Czy więc odszkodowanie dobrowolne za kalectwo, poniesione przy pracy fabrycznej, nie wchodzi w obręb owych zobowiązań bezspornych, którym z jednej strony moc prawa, a z drugiej poczucie krzywdy ludzkiej nadają wszelkie cechy sprawiedliwej i nieodsądzonej należytości, i czy uciekanie się w tych razach do sporów sądowych jest właściwe, jeśli kwestyja sporna stanowi jednorazowy wydatek rs. 300 na złagodzenie nędzy człowieka, pozbawionego możliwości zapracowania na życie?”

Pisma nasze od czasu do czasu odkrywają z zadowoleniem większe lub mniejsze, ale zawsze dawno i dobrze wszystkim znane Ameryki.

Oto np. *Gazeta radomska* opowiada, jak na drodze iwangrodzko-dąbrowskiej znaleziono 23 osoby jadące bez biletu. Dla położenia tamy temu nadużyciu *Gazeta* radzi, aby zarząd kolei wzmocnił kontrolę, jak to się dzieje na innych „dobrze urządzonych” drogach. Nie wiem, jak urządzoną jest kontrola na innych drogach, ale to wiem, że niema u nas w Królestwie takiej, na której nie robionoby malwersacji z biletami. Na wiedeńskiej i na nadwiślańskiej, na petersburskiej i na terespolskiej, słowem na wszystkich wązko czy szeroko-torowych liniach odbywa się to codziennie, zupełnie jawnie, najczęściej nawet wobec publiczności w wagonie. Nie zdaje mi się, żeby powiększenie liczby kontrolerów wykorzystało to nadużycie. Lepiej byłoby opłacać należycie konduktorów. Wiem o tem, że podwyższenie pensyj nie jest radykalnym środkiem dla usunięcia nadużyć, że urzędnik czy oficyalista dobrze płatny nieraz również pobiera dochody uboczne. Ale licho płatna służba jest do nadużyć o wiele skłonniejsza. Taki konduktor, który za marne wynagrodzenie marnuje w prawdziwie „psiej służbie” zdrowie i siły, zwykle bez nadziei awansu a nawet widoków otrzymania kawałka chleba i spokojnego kąta na starość—taki biedak, obarczony nieraz liczną rodziną, nie może być wzorem bezinteresowności i cnoty. Zresztą oficyjaliści kolejowi mają do zwalczania jedną jeszcze pokusę więcej. Wiadomo wszystkim, a im lepiej niż komu innemu, że towarzystwa dróg żelaznych nie są wolne od zarzutu rozmaitych podejrzanych spekulacji, że na miliony rubli oszukiwały one skarby państwa, że fortuny kolejowych potentatów są zwykle owocem mniej lub więcej zręcznych, mniej lub więcej występnych szwindłów. Czy można się dziwić, gdy jakiś biedny konduktor, przeczytawszy np. w *Roli* ciekawą opowieść o życiu i czynach „pana prezesa”, Jakóba Godfrieda Kolba, rozumuje sobie: a cóż to złego, jeżeli ja choć trochę temu oszustomi odkradnę”. Konduktor się myli, bo jakiś tam potentat kolejowo-finansowy nie jest wcale oszustem, tylko spekulantem; konduktor błędnie rozumuje, kiedy twierdzi, że ma prawo „odkraść” nieprawym sposobem zdobyte pieniądze; ale konduktor jest człowiekiem biednym i mało wykształconym, więc mu błędy w rozumowaniu wybaczyć należy.

Dajcie służbie kolejowej lepsze wynagrodzenie, znośniejsze warunki pracy, a wtedy będziecie mogli wybierać do niej odpowiedniejszych ludzi i zniknie potrzeba zwiększania kontroli. W dodatku zaś jeszcze; oducecie publiczność od szachrowania biletami, na co również skutecznie może wpłynąć zniżenie ich ceny. U nas dwie kategorie pasażerów dopomagają wyłącznie prawie konduktorom w nadużyciach: inteligentna publiczność miejska, zwłaszcza warszawska, i żydzi. Ci ostatni chyba z amatorstwa jeżdżą często bez biletów; widziałam raz np. młodego żyda, dosyć porządnie chociaż w długi, chałat ubranego, który dał konduktorowi za przejechanie stacyi 15 kopiejek, kiedy bilet kosztował tylko 22 kopiejki. Szlachcic, robotnik, chłop zawsze prawie kupują bilety.

J. Nieborski.

Korespondencyja „Głosu”.

Z pow. dynaburskiego, gub. witebskiej.

Zacisze, stagnacja i wegetowanie jest cechą stron tutejszych. O życiu społecznem może być nie może. „Każdy dla siebie” — jest ogólną dewizą, ściśle tu przestrzeganą. O czem więc pisać, wobec tego stanu rzeczy? Trzeba atoli od czasu do czasu przypomnieć, że żyjemy przecie. Natura, jakby w harmonii ze społeczeństwem tutejszem, odznacza się również biernością. Zima bez przerwy trwa od października, wiosny nie czuć jakoś w powietrzu, choć przyleciały już do nas skowronki i szpaki...

Zachodnia część witebskiej gubernii składa się z trzech powiatów: dynaburskiego, rzeżyckiego i lutyńskiego. Łotysze są rdzenną ludnością miejscową; ilość ich wynosi około 200,000 (trzy czwarte ogólnej ludności). Wszyscy mówią językiem łotewskim, który wielce się różni od języka nadbaltyckich łotyszów. Ci ostatni pod każdym względem wyżej stoja. Rozwój łotewskiej narodowości w nadbaltyckich prowincjach szybkimi podaża krokami. Ciekawy to wielce objaw ze względu na tak niedaleki moment, gdy lud ten doszedł do samowiedzy, gdy ruch społeczny zaczął się rozwijać w narodowym kierunku, gdy tak niedawno jeszcze był pod naciskiem kultury niemieckiej, bił czołem przed hegemonią niemieczyzny. Dziś wywalczył w możliwie szerokim zakresie indywidualność narodową, posiada dość bogatą swą literaturę, ruchliwą i rozpowszechnioną prasę¹⁾, liczne stowarzyszenia, kluby, kółka, budzące ruch dokoła w najrozmaitszym zakresie działalności społecznej. Jakto, i to wszystko robią włóścianie?—może ktoś zapyta. Tak, szlachty tam niema, są tak zwani „kurlandcy królowie”, ale ci do niczego nie należą. Wreszcie powrócimy jeszcze kiedyś do tego przedmiotu...

O, jak daleko od oświaty, od tego ruchu w różnych kierunkach odbiegli łotysze witebscy od swych współbraci nadbaltyckich! Cały ich zasób umysłowy składa się z kilkunastu książek do nabożeństwa, kilku egzemplarzy biblii i bardzo nielicznego repertuaru pieśni narodowych. Jeszcze dziś niewszyscy zasługują na szacunek, niewszyscy odpowiadają powołaniu. Nietylko pod względem umysłowym nisko stoja łotysze witebscy. Niewielkiego wzrostu, wątli—mieszkają w chatach niebielonych, z okraglaków, których końce wyglądają na węglach; strzechy wszędzie słomiane. Wewnątrz brudno i ubogo. Zimową porą cieleta i prosięta razem z ludźmi zamieszkują. Odzienie noszą samodziłowe jednostajnej szarej barwy. Przesądów i zabobonów co nie miara. Z natury są łagodni, nieśmieli i wrażliwi, pod wpływem różnych przyczyn stali się skrytymi, kłamliwymi i niedowierzającymi. Trudnią się głównie rolnictwem.

Daleko więcej zasobów życia posiada inna część ludności miejscowej, daleko mniejsza—są to wielko-rosyjanie, starowiercy (rozkolnicy), przybyli w początkach XVIII-go stulecia. Lud to silny, ruchliwy, przedsiębiorczy. Starowiercy mieszkają w podobnych chatach, jak łotysze, z tą różnicą, iż bielą je i daleko czystiej i schludniej utrzymują. Prócz rolnictwa, trudnią się czy to przemysłem, czy to rzemiosłem; każdy z nich jest dobrym cieślą; rybołówstwo (a są tu liczne i duże jeziora do 40 sążni głębokie, na kilka i kilkanaście wiorst rozległe) całkowicie do nich należy; pędzą dziegieć, wynajmują ogrody owoc-

¹⁾ Oto są dane statystyczne, dotyczące ilości prenumeratorów najpoczytniejszych czasopism łotewskich. W listopadzie z. r. pocztą wysyłano gazety: „Bals” 3,993 egzemp. „Baltijas Westnesis” 1,882, „Deenas Kapa” 1,111, „Majas Wesis” 1,068. Najwięcej prenumeratorów posiada Wendenski powiat, dokąd się wysyłało ogółem 1,718 egzemp. czasopism. „Baltijas Westnesis” w Rydze posiada 3,500 przedpłacicieli. „Deenas Lafa — 1,500. W ogóle więc pierwsze pismo ma 5,382 prenumeratorów, drugie zaś 2,611. Liczby te dają dostateczne pojęcie o ruchu piśmienniczym, wobec 1 1/2 milionowej ludności łotewskiej w prowincjach nadbaltyckich.

we po dworach okolicznych... dzięki temu wszystkiemu, są o wiele zamożniejsi od łoty-szów.

Większa część obywateli na Inflantach dźwiga na swych barkach grożące rychłą ruiną kłopoty i zawiąkania finansowe.

Wśród nich znaleźć można tylko kilku prawdziwych obywateli, którzy dzięki swej pracy i zapobiegliwości, dzięki skromnemu życiu w granicach nieprzewyższających środków, mają być zapewnieni.

Echo.

Przegląd społeczny.

Płock. (Kor. „Głosu”). Tutejszy sąd okręgowy skazał na półtora roku rot aresztanckich niejakiego Lichtblaua, z gminy Starożreby, w pow. płockim, za poddawianie włościan do emigracji do Brazylii. Lichtblau sam zamierzał emigrować razem z podmówionymi włościanami, pragnął jednak na tej sprawie coś zarobić, i gdy emigranci, będąc już w pobliżu granicy, nie chcieli zaspokoić jego wygórowanych żądań, zadenuncjował ich przed władzą, iż chcą przejść granicę. Śledztwo jednak wykazało prawdę i L. dostał się do więzienia.—Gospodarze w gubernii naszej mieli w ziemie obfitość paszy, to też na przednówku na jarmarkach prawie wcale nie spotykamy bydła, przyprowadzanego zwykle o tej porze na sprzedaż,—nowy więc rok rolniczy zaczyna się pod dobrą wróżką dla włościan. *Godziemba.*

Lublin. (Kor. „Głosu”). Lubelski oddział banku włościańskiego w r. z. otrzymał 6 podań o udzielenie pożyczek na zakup gruntów i w 3 wypadkach przyznał pożyczki, w pozostałych zaś nie wydał jeszcze decyzji z powodu późnego przedstawienia potrzebnych dowodów. Żądania były następujące: 1) spółka z 33 włościan pow. nowo-aleksandryjskiego i janowskiego wniosła podanie o udzielenie jej pożyczki 12,174 rs. 30 kop. na zakup 517 m. 279 pr. z folwarku Zielonka Górna, w pow. janowskim; bank przyznał pożyczkę w wysokości 12,100 rs. z ostateczną sumą dopłaty w wysokości 1886 rs.; 2) spółka 11 włościan ze wsi Olszówka i Babin B., w pow. lubelskim, zażądała pożyczki na zakup z majątku Babin D. E. 64 m. 155 pr., bank przyznał pożyczki 3,300 rs. z ostateczną dopłatą w wysokości 3,692 rs.; 3) z tegoż folwarku 17 włościan ze wsi Czółna, w pow. lubelskim chciało nabyć 88 m. 131 pr., na co otrzymali od banku 4,560 rs. z ostateczną dopłatą w sumie 5,850 rs.; 4) ośmiu mieszczan rolników z Bełżyc Podole lit. E. wniosło podanie o pożyczkę na zakup 79 m. 56 pr. z dóbr Bełżyc Wzgórza i zażądali 3,500 rs. pożyczki; 5) z Podola lit. F. 15 włościan pragnęło nabyć z majątku Bełżyc Wzgórza 192 m. 240 pr.; 6) ze wsi Kalinówka, w pow. chełmskim, 28 włościan podało o pożyczkę 9,263 rs. 70 kop. na zakup 150 m. 143 pr. gruntu. — Wśród wyrobników dziennych naszego grodu panuje straszna bieda, gdyż po pierwsze robót w ogrodach jeszcze się nie zaczęło z obawy mrozów, a powtórnie tania praca więźniów czyni żyjącym z wyrobku groźną konkurencją. *Sylwek.*

Sosnowice. (Kor. „Głosu”). Powstał tu u nas ważny bardzo projekt w głowie jednego z lekarzy fabrycznych. Chodzi o założenie towarzystwa lekarzy fabrycznych w Sosnowickim okręgu przemysłowym. Że towarzystwo takie liczyłoby niewielu członków, nie potrzebują chyba dowodzić, gdyż p. Światłowski, inspektor fabryczny, a następnie *Tydzien* piotrkowski dostatecznie przekonali świat cały, iż w fabrykach naszych i kopalniach jeden lekarz obsługuje dziesiątki fabryk. Mniejsza jednak o ilość członków, niechby ich było i niewielu, bądź co bądź istnienie towarzystwa mogłoby przynieść pewien pożytek, jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio, gdyż w razie ogłaszania drukami rezultatów swych badań, obznajmiłoby publiczność z wielu ciekawymi danymi, choć wątpię, czy fabrykanci zgodziliby się, aby ich oficjalnie, jakimi są lekarze fabryczni, drukowali pod powagą ciała zbiorowego rzeczy nieraz nieprzyjemne dla nich. Celem towarzystwa ma być podniesienie stanu sanitarnego fabryk (co jest wprost niemożliwe dla instytucji tego rodzaju), zbieranie odpowiednich danych statystycznych i wyjaśnianie ciemnych jeszcze dotychczas stron w stosunkach sanitarnych robotników fabrycznych. Mówią, że projektodawca porozumiewa się z lekarzami fabrycznymi w Łodzi w celu wspólnego działania; lecz z mąki tej prawdopodobnie nie będzie chleba, gdyż jeśli lekarze łódzcy, mając u siebie stowarzyszenie lekarskie już od dość dawna, dotychczas nie po-

ruszali spraw tego rodzaju, to prawdopodobnie i w przyszłości nie zechcą ich poruszać. *S. P.*

Łuck. (Kor. „Głosu”). Ruch handlowy jest znaczny w gub. wołyńskiej: niedawno sprzedano m. Suchowolę Buszczyńskich (faktycznie Jackowskich) oraz Iwankowicze Jełowickich (w pow. dubieńskim). Teraz za zaległe podatki sprzedano w kijowskim rządzie gubernialnym Skobyłkę, własność hr. Tarnowskich.—Sprawy czynszowe, jeśli robota pójdzie tak szybko, jak idzie dotychczas, chyba za jakie lat 30 będą ukończone. O ogromnej większości czynszowników odmawiają przywileju, ale, co prawda, wszyscy prawie karczmarze, leśnicy i drobni dzierżawcy za czynszowników się podali. Komisje czynszowe po roku i więcej przetrzymują zdecydowane sprawy i wyroków do policyi dla ogłoszenia nie wysyłają. Zjadły komisje czynszowej bywają tylko raz na miesiąc, przytem np. w Łucku jedna komisja działa na dwa powiaty (łucki i dubieński). Między Niemcami-kolonistami połowa też za czynszowników się podała. Ruch emigracyjny znacznie się u nas zmniejszył. Wreszcie ludność miejscowa o emigracji nigdy nie myślała. Brali i biorą jeszcze w niej udział żydzi i koloniści (niemcy i czesi): tych ostatnich dużo wemigrowało po wydaniu rozporządzenia o przypisywaniu ich do gmin miejskich i, co za tem idzie, poddaniu sądom gminnym i zmuszeniu do odbywania wszelkich naturalnych powinności (szarwarków). Wogóle głównym impulsem do emigracji była tu nie nędza, bo koloniści stali materyjalnie bardzo dobrze, ale zniesienie ich autonomii. Obecnie czesi, zdaje się, zdecydowani są uleść wszystkiemu i zostać na gruncie, ale Niemcy nie wiadomo co poczną z sobą.

B. Orł.

Łomża. Korespondent *Dziennika dla Wszystkich* donosi: „W pewnym folwarku pod Czerwinem odbyła się w tych dniach tragiczna scena tej treści: Służba dworska oświadczyła dziedzicowi, że wybiera się do Brazylii. Dziedzic usiłował przekonać obalamucone biedactwo o bezsensowności zamiaru, a gdy nic poradzić nie mógł, wymówił natychmiast obowiązki wszystkim i polecił sprząty ich i pościel powyrzucić z mieszkań dworskich na podwórze. Zakłopotani tak energicznym postąpieniem niedoszli emigranci, wszyscy z pokorą prosili chlebowadawcę o przebaczenie i powrotne przyjęcie ich na służbę. Po wielkich ceregielach p. X. uwzględnił żądania i niektórych poprzyjmował z powrotem”.

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Niejednokrotnie donosiłem wam o mieszkaniach stróżów tutejszych, które często są niemożliwe prawie pod względem sanitarnym. Otóż obecnie komisja sanitarna zarządziła rewizję tych mieszkań w 40 domach, mających pod tym względem najgorsze warunki; wiele z tych mieszkań podobno zostanie zamkniętych.—Przy kancelaryi kuratora okręgu naukowego utworzono komisję dla opracowania typu średniej szkoły rolniczej, najodpowiedniejszej dla naszych potrzeb. Na założenie szkoły miasto ofiarowało 100,000 rs., to też do komisji zaproszono dwóch członków zarządu miejskiego. Szkołka niedzielna dla dziewcząt rozwija się pomyślnie i liczy obecnie do 180 uczennic w wieku 8—15 lat, w czem najmniej przypada na okres 13—17 lat. Co do zajęcia, to między uczennicami jest około 70 szwaczek, około 10 modystek, 3 robotnice koronek, 14 służących, 2 gospodynie, reszta zaś uczennice pomaga matkom przy zajęciach domowych. — Projektują u nas urządzenie centralnych jarmarków na konie corocznie na jesieni, aby w ten sposób ułatwić rolnikom nabywanie potrzebnego inwentarza, co dziś jest rzeczą trudną, z powodu rozrzucenia jarmarków tego rodzaju po całym kraju. — Przy zarządzie miejskim utworzono na żądanie naczelnika kraju komisję, mającą się zająć kwestyją budowy nowego teatru.—Naklejanie wszelkich ogłoszeń po ulicach zarząd miejski bierze na siebie i w tym celu stawia kioski i t. p. budyneczki. *Niewart.*

Mińsk gub. (Kor. „Głosu”). Osądzona tu w ubiegłym tygodniu głośna sprawa Maszewskiej wywołuje u nas wciąż jeszcze wiele wrzawy. Sąd to nie był nad Maryją Maszewską, raczej nad jej miłym stryjaszkiem, Narcyzem Maszewskim, którego haniebną działalność wreszcie ujawniono. Zastrzegam się, iż nie bronię wcale Maszewskiej; na niej plam sporo; niemniej jednak odpowiedzialność za nie spaść powinna na jej zmarłego ojca, Artura, oraz na stryja. Na sądzie publicznie ujawniono, iż ten ostatni nie przebiegał w środkach, ażeby zagrabić majątek opuszczonej sieroty. Świadców: Franciszka Malukiewiczowa, oraz jej córka Zofija zeznały, że Maszewski za pośrednictwem swoich ludzi: Dąbrowskiego i Legatowicza, usiłował się je przekupić, proponując im 1,000 rs. za to, jeśli pierwsza z nich przyniesie Maryję Maszewską za swą córką, druga za swą siostrą. Świadek

Sudnik opowiedział nam o p. Maszewskim Narcyzie jeszcze gorsze rzeczy: nie żałował pieniędzy, ażeby zbezcześcić swą synowicę, pozabawił ją swobody. Tajemniczą i bądź co bądź nieczystą rolę odegrała w tym procesie księżna Joanna Radziwiłłowa z Annopola. Według słów wymienionego Sudnika, N. Maszewski zawiódł do niej przed kilku laty swą synowicę; księżna miała z Maryją długą rozprawę na osobności. Rozprawa owa zakończyła się tem, iż nieszcześliwą Maryję wyniesiono z buduaru księżnej omdlałą. Dziewczyna długo przyjsć do siebie nie mogła. Czego od niej chciała zacna „matrona”—nie wiemy: złośliwi jednak utrzymują, iż księżna usiłowała skłonić swą córkę nieprawą do ukrywania swego od „matrony” pochodzenia. Kursują u nas wieści, iż przysięgli, uznając metrykę Maszewskiej za prawdziwą, przyznali tem samem i jej prawe od Artura i Emilii małżonków Maszewskich pochodzenie. Bynajmniej: przysięgli, uniewinniając M. Maszewską, przyznali fakt „usynowienia” jej przez ojca, Artura Maszewskiego. Kto jest matką dziewczyny—napewno niewiadomo; prawdopodobnie jednak... księżna „matrona annopolska...” — W Mińsku otwarto w tych dniach, przy zbiegu ulic: Felicjańskiej i Zborowej lombard miejski z inicjatywą prezydenta miasta, hr. Czapskiego. Lombard wydaje pożyczki, poczynając od 2 rs. i pobiera 8^o/_o. *K. P.*

Petersburg. Zapowiedziana reforma pocztowa w W. Ks. Finlandzkim wprowadzoną zostaje w d. 1 maja n. s. Sprzedawane w Finlandyi marki różni się będą tem od ogólnoruskich, że będą oznaczone kółkiem, wskazującym, że dochód ze sprzedaży z tych marek przelewany będzie do kasy księstwa. Sprzedaż marek bez kółek w Finlandyi oraz z kółkami po za jej granicami jest wzbronioną, listy wszakże z markami ruskimi wysyłane być winny przez poczty finlandzkie bez przeszkody. Korespondencyja wewnątrz Finlandyi, jako też i za granicę może być i nadal opłacana markami finlandzkimi, dla korespondencyi zaś, adresowanej do Rosyi, marek finlandzkich można używać tylko do d. 1 stycznia 1892 n. s.—W projektowanym kredycie melioracyjnym gospodarstw rolnych ma być zaprowadzony kredyt naturą, na wzór istniejącego w Belgii, t. j. dostarczanie na kredyt narzędzi rolniczych, nawozów, nasion, porady technicznej i t. p.—Ostatnimi czasy zwrócono baczną uwagę na propagandę sekty sztundystów. W Kijowie pociągnięto do odpowiedzialności 12 osób, które zbierały się perjodycznie dla wspólnej modlitwy i czytania Pisma Świętego; sędzia pokoju skazał oskarżonych na kary pieniężne po 40 rs. lub areszt 2 miesięczny. — Spasowicz ostatni odczyt swój poświęcił kwestyi kolonij rolniczych, zakładanych przez ludzi inteligentnych. Zaznaczywszy wpływ beletrystyki na zapoznanie się z ekonomicznymi warunkami wsi, scharakteryzowawszy wpływ idej Uspieńskiego, Engelhardta a zwłaszcza hr. L. Tołstoja, prelegent przeszedł do kolonij. Zdaniem jego, najlepszą ich formą są spółki inteligencji z prostymi parobkami. Najodpowiedniejszą formą władania jest gmina, ale bez podziałów i z szerokim użytkowaniem pracy wspólnej. Prelegent radził zakładać kolonije w pobliżu miast i kolei i sądził, że należałoby zorganizować taki kredyt dla podobnego rodzaju przedsięwzięć. — Drugi odczyt p. Spasowicza poświęcony był kwestyi wolnej woli i poczytalności zbrodniarzy, poczem prelegent rozpoczął analizę teoryj Tarde'a, które będą w dalszym ciągu przedmiotem odczytu następnego. — Próby leczenia suchot za pomocą tuberkuliny Kocha, dokonywane w tutejszym szpitalu miejskim, wypadły zadawalniająco, tak, że lekarze postanowili i nadal środek ten stosować. — Powstają tu wciąż resursy (sobranija) zawodowe, obecnie proponowane są resursy architektów i kolejarzy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Sesja anstryjackiej rady państwa otwartą została. Mowa tronowa odznacza się przedewszystkiem swymi rozmiarami. Do współdziałania rządowi powołuje wszystkich „podzielających przekonanie, że po nad szczególnymi stronnictwami stoi państwo i naród (?)”. Działalność parlamentu pragnie rząd skierować przedewszystkiem na drogę prawodawstwa społecznego; w mowie więc spotykamy zapowiedź praw, dających do zapewnienia lepszych stosunków między przedsiębiorcami a robotnikami; dalej wskazaną jest potrzeba uregulowania drobnego przemysłu, cechowego zorganizowania ludności rolniczej. Regulacja rzek, obowiązkowe ubezpieczenie od ognia nieruchomości, walka z fałszowaniem środków żywności, reforma podatków bezpośrednich, stopniowe upaństwowienie dróg żelaznych, reforma studyjów prawnych w uniwersytecie, reforma kodeksu karnego i t. p. — Wypełniają resztę programu. W imię takiego to programu współ-

działac mają niemcy liberalni, polacy i różnoplemien-ny klub konserwatywny hr. Hohenwartha. Współdziałanie to jednak będzie luźne. Tą pseudo-większością nie będzie, jak było to dotąd, kierować żaden komitet parlamentarny. Hr. Taaffe przed każdym głosowaniem ważniejszym będzie musiał wchodzić w bezpośrednie układy z rozmaitemi stronnictwami dla skłecenia większości „od wypadku do wypadku”, a może „od upadku do upadku”, jak tłumaczy pewien dziennik francuski.

Rozpoczęcie działalności parlamentu wiedeńskiego odbyło się bez żadnych wypadków szczególnych, młodocześni tylko wnieśli rezolucyję, zaznaczającą, że stoją przy prawie państwowem czeskiem, i domagającą się koronacji cesarza Franciszka Józefa w Pradze.

Polacy (którzy w mowie tronowej otrzymali obietnicę otwarcia wydziału medycznego we Lwowie) na przewodniczącego obrali znowu p. Jaworskiego. Do kola przybędzie może jeszcze jeden członek, albowiem ks. Świeży ma zamiar wnieść do rady państwa projekt nowej ordynacji wyborczej dla Szląska, co pozwoli tej dzielnicy wybierać jeszcze jednego posła polaka. Rusini obrali na swego przewodniczącego prof. Romańczuka. Mają oni zająć stanowisko pośrednie między stronnictwami. W sprawach galicyjskich mają zamiar porozumiewać się z kolem polskiem; z lewicą łączą ich przekonania liberalne, zaś z klubem Hohenwartha sympatyje plemienne. Czesi morawscy zawiązali klub samodzielny z Meznikiem na czele; jest ich 10, doliczając zaś ministra Pražaka—11. Szlachta czeska ma utworzyć podział klubu Hohenwartha, który obecnie liczy 51 członków. W komisjach parlamentarnych, liczących po 35 członków, zasiadać będzie 12 przedstawicieli lewicy 10 konserwatystów, 8 polaków, 2 młodocześców, 2 narodowców niemieckich, 1 z klubu Coroniniego i 1 dziki.

Po za granicami Austrii zwrócono baczną uwagę przedewszystkiem na ustęp, zapewniający bardzo energicznie o pokojowości sytuacji. We Francji zaś podnoszą ustęp, dotyczący traktatów handlowych. Widzą w nim zgodę rządu austriackiego na plany Wilhelma II co do wytworzenia ligi celnej. Monarcha niemiecki dawno już nosi się z tą myślą. Pierwiastkowo miała to być liga, skierowana w pierwszej linii przeciw Ameryce, poniekąd zaś przeciw Rosji. Ponieważ jednak Francja nie ma wcale chęci przystąpienia do związku i przeciwnie—stanowczo przeważa w niej prąd protekcyjny, obecnie więc liga byłaby skierowaną i przeciw Francji. Traktat z Austriją ma być tylko początkiem, poczem pójdą układy z Włochami, Belgiją, Holandją, Rumuniją i t. d. We Francji zaczynają się tem niepokoić i wyrażać obawę, że zbytne hołdowanie protekcyjonizmowi kosztować może zbyt drogo. Co prawda, dziś jeszcze nie można twierdzić na pewno, czy upragniony przez Wilhelma II traktat z Austriją do skutku dojdzie. Jakkolwiek ma on za sobą bardzo poważne względy, wielu jednak liczy przeciwników. W Niemczech przywódcą opozycji w tym względzie jest ks. Bismark, co mocno gniewa cesarza, który nie lubi, by woli jego się sprzeciwiano. W Austrii również są zadowoleni i niezadowoleni. Stronnictwa przygotowują się już zawnazu do świadomego rozstrzygnięcia tej kwestyi. W Wiedniu obraduje obecnie galicyjska konferencja celna, w której oprócz grupy posłów (jak Szczepanowski, Abrahamowicz, Rutowski i t. d.) biorą udział: członek wydziału krajowego Romanowicz i prof. Pilat. Studjują oni wpływ tariff celnych na Galicyję i przygotowują się do rozpraw nad traktatem z Niemcami.

Gorszące sceny, jakie odegrały się dotąd w serbskiej rodzinie królewskiej, przychodzą wreszcie do jakiegoś takiego końca; król Milan zdecydował się porzucić kraj ojczysty i nie wracać doń do chwili pełnoletności swego syna (t. j. do sierpnia 1894 r.)—pod warunkiem, że wypłacą mu z góry za ten czas 1,000,000 fr. Skupczyzna przyjęła z wdzięcznością propozycję Milana i zwróciła się do rządu z prośbą o sklonienie królowej Natalii również do opuszczenia Serbii. Pomimo racjonalności tego kroku, wywołał on nader burzliwe rozprawy w izbie, i kto wie, czy przyda się na co. Królowa Natalia jest niewiastą silnego charakteru i nie wyraża najmniejszej chęci porzucenia Belgradu.

„Konwencyja” australijska uchwaliła projekt konstytucyi związkowej, który przejść jeszcze musi pod obrady parlamentów kolonij poszczególnych, oraz parlamentu angielskiego. Kolonije dzisiejsze wchodzi do związku jako stany (państwa); wysyłają po 8-miu przedstawicieli do senatu związkowego, do izby zaś deputowanych liczbę odpowiednią swemu zaludnieniu, nie mniej jednak jak 4. Na czele władzy wykonawczej stoi general-gubernator, mianowany przez królowę.

Spór włosko-amerykański przyjął obrót mniej pomyslny. Poseł Fava opuścił już Waszyngton.

Zmarły ks. Napoleon jedynym swym cywilnym i po-

litycznym spadkobiercą mianował ks. Ludwika, z zupełnem wydziedziczeniem starszego syna ks. Wiktora. Ks. Ludwik zamierza jednak podzielić się sukcesyją z rodziną i uznać brata za głowę, sam zaś wyrzeka się zupełnie roli politycznej.

We Francji odbywają się obecnie doświadczenia z prochem bezdymnym w zastosowaniu do dział morskich, w obecności przedstawicieli Rosji i Danii. Rezultaty mają być „zdumiewające”.

W Rzymie wyszły aż dwie broszury polityczne, doradzające katolikom francuzkim pogodzenie się z rzezcązopolitą. Autorami ich są oficer gwardyi papieskiej Soderini i ks. jezuita Balferini.

Wybory w najbogatszej kuryi wiedeńskiej dały 44 liberalów i 1 antysemitę; oprócz tego odbyć się musi jeden wybór ściślejszy. Rada miejska składać się więc będzie z 96 liberalów i 46 antysemitów.

Z Norymbergi donoszą, że w okolicach miasta Hof wywiązała się bójka między niezajętymi robotnikami niemieckimi a pracującymi polakami. Dla przywrócenia porządku musiano wezwać wojsko z Bayreuth.

W Bradford mityng ludowy rozpędzono za pomocą bagnatów; zostało wiele ofiar.

Kongres górniczy w Paryżu postanowił zorganizowanie międzynarodowej federacyi górników i zwrócenie się do rządów z petycją o wprowadzenie 8 godzinnego dnia. Projekt domagania się takiego skrócenia dnia za pomocą ogólnego bezrobocia tymczasowo przynajmniej odrzucono, zapewniono natomiast robotnikom belgijskim ogólne poparcie w razie, gdyby uciekli się do zmywu dla zdobycia prawa głosowania powszechnego.

KRONIKA LITERACKA.

Jezus Chrystus. W. O. Didon Z. K. Zeszyt I. Nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1891.

Listy z Brazylii Adolfa Dygasńskiego. Nakład „Kuryjera Warszawskiego”. Warszawa, 1891.

Wina owocowe i miody. Fabrykacyja win owocowych i miódów przez *Konrada Niklewicza*, b. inspektora winnic w Austro-Węgrzech. Warszawa, 1891.

Poezyje prozą (obrazy). *Andrzeja Niemojewskiego.* Kraków, 1891.

Najnowszy elementarz polski *Plato v. Reussnera.* Wydanie czwarte. Nakład autora. Warszawa, 1891.

Kobiety myślące i kobiety piszące przez *René Marceil.* Spolszczyła M. Ch. Warszawa, 1891.

Nie pierwszy. Fragment sceniczny w 1-ym akcie, przez *Józefa Łozńskiego.* Warszawa, 1891.

Hygijena praktyczna D-ra med. *Ludwika Natanson.* Zeszyty 10—13-ty. Nakład S. Lewentala. Warszawa, 1891.

KRONIKA PWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe.** Ministerjum spraw wewnętrznych, po porozumieniu się z ministerjum sprawiedliwości, otwiera posady obrońców dla włościan, a to w celu obrony ostatnich od wyzysku różnych pokątnych doradców. Obrońcy będą urzędnikami koronnymi, obowiązani do prowadzenia spraw włościańskich do wysokości 500 rs. bezpłatnie, od spraw przewyższających tę sumę mogą pobierać pewien procent od stron. Urzędowaci będą przy zjazdach naczelników ziemskich, pośredników mirowych i przy sądach pokoju. Posady obrońców, o których mowa, otwarte będą zaraz po otrzymaniu informacji zażądanych od naczelników ziemskich.—Ogłoszony został ukaz o wywłaszczeniu gruntów pod budowę szosy: Kolbiel, Nowy Mińsk, Stanisławów, Brok, Ostrowo, Ostrowo, Różany, Wyszok, Pultusk, Zambrow, Mazowieck, Białystok, Merecz, Orany, Sejny i Olita.

— **Kronika społeczna.** Z towarzystw lekarskich po warszawskim najpomyślniej rozwija się lubelskie, liczące już 15 lat istnienia. Posiada bibliotekę o 5 tys. tomów, urządza odczyty i t. p. Tow. lek. w Kaliszu w ciągu 13 lat istnienia ogłosiło jeden raz sprawozdanie roczne.—Ludność rolna Królestwa stanowi około 70^o/_o ogółu ludności.—Na rozszerzenie domu sierot imienia Stanisława Jachowicza zebrano przeszło 12 tysięcy rubli.—Instytucja kółek włościańskich w Poznanskiem, kończąca obecnie osiemnasty rok swego istnienia, liczy w roku bieżącym 159 kółek; w roku ubie-

głym rozwiązało się 5 kółek, a przybyły 3 nowe. Niejakie uspienie w czynnościach niektórych kółek pochodzi z winy niektórych prezesów, którzy niezbyt gorliwie pełnią swe obowiązki i nieregularnie zwołują posiedzenia. Kółka rolnicze pow. wągrowieckiego urządziły w Wągrowcu wystawę, która świetnie się udała. Oprócz tego odbyły się dwie mniejsze wystawy kółek w Kazimierzu i Wielkim Gaju. Kółka sprowadzają w wielkich ilościach sztuczne nawozy, zwiedzają gospodarstwa, urządzają odczyty. Kosztem patronatu kółek uczyło się w roku ubiegłym 18 synów włościańskich sadownictwa u p. Kremera w Srodzie.—Z ogólnej liczby osadników, sprowadzonych przez komisję kolonizacyjną w 1889, 51^o/_o pochodziło z Poznańskiego i Prus Zach., a w 1890 r. już tylko 39^o/_o. Najwięcej kolonistów dostarczają: Westfalija, Pomorze, Szląsk, prow. Nadreńskie i t. d. Gdy 204 kandydatów z Poznańskiego i Prus Zach. posiadało ogółem 1,048,150 m.—103 osadników z Zach. Niemiec—1,396,680 m. Liczba osadników wynosiła w końcu r. 1890 ogółem 690. Z liczby tej pochodzą: z Prus Wschodnich 11, Prus Zachodnich 150, Brandenburgii 61, Pomeranii 51, W. Ks. Poznańskiego 183, Szlązka 78, Saksonii 14, Szlezwiga i Holsztynu 5, Hanoweru 10, Westfalii 28, Hessyi, Nassawii 5, prow. Nadreńskiej 21, Wirtembergii 31, Niemców z Rosji 36, i innych niemieckich poddanych 6. Objawem charakterystycznym jest, że zaledwie dziesiąta część kolonistów należy do kościoła katolickiego.—Liczba czynszowników w guberniach. Południowo-Zach. wynosi około 220,000 (posiadających 207,000 dziesięcin ziemi), z czego na gub. kijowską przypada 84,000, na gub. wołyńską 74,000, reszta zaś na gub. podolską. Uwłaszczenie ich ma być już faktem dokonanym.—Zostało zdecydowanem w zasadzie zniesienie mieszczanstwa, jako stanu ludności miejskiej.—Rosya posiada 153 rolniczych towarzystw i komitetów.—Praga liczy 175,571 mieszk., w tem 27,178 niemców, resztę zaś Czechów. W ostatnim 10-leciu ludność czeska zwiększyła się o 9,000, a niemiecka zmniejszyła się o 3,500 osób.

— **Kronika ekonomiczna.** Według sprawozdania Tow. kredytowego ziemskiego w Warszawie, z czynności dokonanych w ciągu 1-go półrocza rachunkowego r. 1890-go, nominalna suma wypuszczonych i zahypotekowanych pożyczek wynosiła 32,271,815 rs. Najmniejsza cyfra udzielonej pożyczki wynosiła od rs. 100 do 500, najwyższa od 150 do 225 tys. Pierwsze otrzymało dóbr 285, drugie 8. Średnia cyfra stanowi 10 do 15 tys. i ta przypada 1,481 dobrom. Ogólna nominalna suma całej wierzytelności Tow., zabezpieczonej hypotecznie na 8,970 dobrach, w dniu 8 (20) września r. z. wynosiła 126,334,115 rs. Depozyty papierów publicznych i innych nominalnych wartości w kasach Tow. w d. 13 listopada r. z. przedstawiają wartość rs. 49,577,051. Stan czynny i bierny stanowią po 126,929,656 rs. Za zaległość w opłacie rat wystawionych było na sprzedaż pierwszą 588 majątków, na sprzedaż drugą 56, razem 644. Z liczby tej sprzedano dóbr 57. Ulg w opłatach rat półrocznych z powodu klęsk przyznano 73 dobrom na sumę 80,136 rs. Na administracyję wydano 208,382 rs.—Ze sprawozdania warszawskiego Tow. ubezpieczeń okazuje się, iż dochód ze składek, pobranych od ubezpieczeń w r. 1890, wynosi rs. 2,151,255. Z dochodu tego, po potrąceniu premii wydanych na reasekuracyję, przypadło na udział tow. rs. 759,514. Na 100 rubli wpływu ogólnej składki, ogień pochłonął: w dziale nieruchomości rolnych rs. 80, ruchomości rs. 81, w dziale nieruchomości przemysłowych rs. 55, ruchomości rs. 172, w dziale nieruchomości miejskich rs. 57, ruchomości rs. 57.—Z końcem 1889 r. Tow. wzajemnego kredytu w Warszawie, liczyło 2,409 czł. z kapitałem 11,100,940 rs., z końcem r. ub. pozostało 2,307 ucz. z kredytem na sumę 10,984,490 rs. Z ogólnej sumy kredytów na prawo korzystają, mianowicie: 730 czł. od 100 do 1,000 rs., 792 od 1 do 3 tys. rs., 630 od 3 do 10 tys. rs., 146 od 10 do 30 tys. rs., oraz 9 od 30 do 50 tys. rs.—Kasa zaliczkowo-wkładowa urzędników magistratu warszawskiego, w d. 1 stycznia r. b. liczyła 162 członków. Pożyczek w ciągu r. z. udzielono rs. 29,799. Na r. b. na pożyczkach pozostało rs. 13,855. Kapitał kasy wynosi rs. 12,565.—Pożyczkowo-rzemieślnicze kasy w Warszawie w końcu r. 1889 posiadały rs. 49,162. W ciągu r. z. majątek powiększył się o rs. 5,767, tak, iż obecnie wynosi rs. 54,929.—Dywidenda Banku Dyskontowego za rok zeszyły wypadła nadspodziewanie wysoko, mianowicie: 8^o/_o, czyli 22 rub. 25 kop. od akcyi. Bank zaś Handlowy daje 10^o/_o.—Stowarz. spożywcze „Oszczędność” w Radomiu w r. spraw. posiadało 152 członków, którzy zakupili towarów za rs. 8,103. Przy obrocie handlowym rs. 14,060 osiągnięto czystego zysku rs. 304.—Wywóz jaj z gub. płockiej dał w r. z. około 30,000 rs.—Niektórym ziemstwom gub. południowych pozwolono sposobem próby zakładać banki miejskie.—Zamierzono w różnych okolicach otworzyć kilka stacyj doświadczal-

nych dla wypróbowania nawozów mineralnych. — Przywóz zagraniczny do Bułgarii wynosi 100 milj. fr., z czego na Rosyję przypada około 1,5 milj.

— **Szkoły i oświata.** Ponownie poruszony został projekt otwarcia szkoły ogrodniczej przy warszawskim ogrodzie pomologicznym. — Przy gimnazjum męzkim w Lublinie ma być otwarty pensjonat. — W Warszawie ma powstać nowa szkoła rzemiosł dla dzieci żydowskich. — Wielu terminatorów, zapisanych do szkół niedzielno-rzemieślniczych, opuszczają lekcje bez uzasadnionych powodów. Z tego powodu zawakowało obecnie 184 miejsc. — W ciągu r. b. ministerjum dóbr państwa ma otworzyć do 20 nowych szkół rolniczo-gospodarskich w różnych punktach Państwa, przeważnie w kraju Połud.-Zach. — Według zgromadzonego materiału statystycznego przeszło 10% uczącej się młodzieży mieszka nie u rodziców lub u krewnych, lecz u obcych. — Na jesieni zorganizowaną będzie w Petersburgu szkoła dla zegarmistrzów. — W instytucie inżynierów dróg i kom. w Petersburgu wakować będzie z początkiem roku naukowego 50 miejsce na kursie pierwszym i 10 na trzecim.

— **Literatura i sztuka.** Wyszyły w Krakowie: „Materiały do historii polaków w Padwie“, d-ra S. Windakiewicza. — Klejnerman i Stawski wydali w języku ruskim „Prawo Cywilne“, obowiązujące w Królestwie Polskim, z wyjaśnieniami b. IX departamentu i kasacyjnych departamentów senatu. Tom pierwszy obejmuje: „Kodeks cywilny Królestwa Polskiego 1825 r.“; „Prawo o małżeństwie 1835 r.“; „Kodeks Napoleona ks. II i III“; „Ustawy hipoteczne 1818 i 1825 r.“ i „Kodeks handlowy“. — Artysta rzeźbiarz L. Pyrowicz w spółce z brązownikiem Romalskim otworzyli w Warszawie fabrykę wyrobów brązowniczych, a mianowicie: odlewów posągów, portretów, stylowych ornamentacji i innych przedmiotów sztuki stosowanej do przemysłu. — Nast. przekłady z polskiego zostały dokonane: na j. litewski „Szkice węglem“ Sienkiewicza w miesięczniku „Unikas“ (Tylża), „Majster i czeladnik“ Korzeniowskiego w mies. „Varpas“ (tamże); na j. serbsko-łużycki „Bojomir“ Chociszewskiego. — W czasopiśmie chorwackim „Vienac“ pomieszczono przekład „Wieczery“ i historii o „Domeyce i Doweyce“ z „Pana Tadeusza“. Przekład dokonał prof. Moretich. — W czasopiśmie serbo-łużyckim „Łuzica“ pomieszczono dokonany przez prof. Mukę przekład komedii Bałuckiego „Polowanie na męża“ („Honitwa za mężem“). — J. Vanczora pomieścił w czasopiśmie „Atheneum“ recenzję dzieła Karejewa „O pol-

skich reformach XVIII st.“. — M. Krysińska, pisująca stale po francuzku, wydała w tym języku zbiorek poezyj p. t.: „Rythmes pittoresques“. — Malarze, St. Grocholski i W. Szymanowski otworzyli w Monachium prywatną szkołę rysunku i malarstwa, do której zapisało się już kilkunastu uczniów, tak polaków, jako też i cudzoziemców. — Znajdujący się na wystawie w petersburskiej Akademii sztuk pięknych obraz Jana Rosena „Przeгляд kawalerji na Placu Saskim przez W. Ks. Konstantego w r. 1824“, został nabyty przez ministerjum Dworu. — Kwietniowy zeszyt czasopisma berlińskiego „Nord und Süd“ ogłasza pierwszą część pamiętników Ferd. Lassalle'a. Pamiętniki sięgają czasów, gdy Lassalle był jeszcze uczniem w gimnazjum w roku 1840/1. — W czasie maja otwartą będzie w Paryżu w pałacu sztuk pięknych międzynarodowa wystawa prasy. Znajdą tu pomieszczenie: dzienniki, przeglądy, albumy, tygodniki, miesięczniki, afisze, prospekty i t. p. — Secesyjniści malarscy Paryża, t. zw. „Indépendants“ otworzyli siódmą z rzędu doroczną wystawę. Tym razem 226 „niezawisłych“ wystawiło 1,254 obrazów.

— **Rozmaitości.** Sprawa zaprowadzenia pociągów błyskawicznych między Petersburgiem i Warszawą (24 godzin), jako początek utworzenia „szybszej komunikacji między Petersburgiem i Wiedniem, ma być wkrótce pomyslnie rozwiązana. — Pomiędzy Rouen a Paryżem będzie wykopany kanał, 182 kilometry długi, 6 metrów głęboki. Jeden port morski urządzony będzie pod Paryżem i pięć pomniejszych na rozmaitych punktach kanału. Koszta nie przeniosą 150 milijonów franków. — Obradujący obecnie w Sydney kongres delegatów wszystkich kolonii angielskich postanowił w zasadzie utworzenie związku australskiego pod nazwą „Commonwealth of Australia“. — Ciekawego odkrycia dokonano w Londynie: lady Henryka Somerset, przewodnicząca tow. wstrzemięźliwości, posiada i prowadzi dwa szynki w mieście. — Jak się urządzają czasem przyjęcia: Podczas ostatniej podróży cesarza Wilhelma do Strasburga, na jednej ze stacyj cesarz, dojrawszy stojące w pobliżu pociągu młode wieśniaczki z bukietami z kwiatów polnych w rękę, zbliżył się do grupy i pierwszej z brzegu zapytał o nazwisko. „Żołnierz od pociągów, Swinderlau!“ brzmiała odpowiedź. Okazało się, że władze niemieckie, nie znajdując odpowiedniego materiału w okolicy zamieszkałej przez ludność francuzką, wybrały młodych żołnierzy, kazali im starannie się ogolić, przebrać i figurować jako „wieśniaczki“. Na

nieszczęście wymustrowany i nawykły do regulaminu żołnierz zdradził plan tak pięknie ułożony.

— **Nekrologja.** Baruum, słynny impresaryjo, zm. w New-Yorku.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. Wr.... w K. Pod. Sprawa zbyt osobista, byśmy mogli jej poświęcać tyle miejsca.

P. Karp. w Sołach. „Przeгляд Tygodniowy“ zapromerowaliśmy.

Pp. Sz. w Moź., Kunc. w Lidzie, Wyrz. i Czok. w Dorp. „Gawędy“ wysłaliśmy.

P. Mon. w Kij. „Gawędy“ wysłaliśmy, kosztują 30 kop., więc 5 kop. zaliczyliśmy na dobro pana. Za naszym pośrednictwem może pan otrzymywać wszelkie książki, znajdujące się w handlu.

P. B. w Zur. W ostatniej chwili przekonał się, że nie można.

P. Bebn. w Wit. „Bellamy“ wysłany.

P. W. Wil. w Berd. „Wysadzony“ wkrótce wyjdzie w oddzielnej odbite.

W administracyi „Głosu“ jest tanio do sprzedania mało używany egzemplarz Nauki języka francuzkiego d-ra Loewego.

Nakładem redakcyi „Głosu“ wyszło z druku nowe wydanie słynnej powieści Edwarda Bellamy'ego

W ROKU 2000

ozdobione portretem autora i uzupełnione rozdziałem dodatkowym.

Cena 60 kop.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Wyszyły z druku:

GAWĘDY EKONOMICZNE

Przełożył i uzupełnił

Zygmunt Heryng

str. 118. Cena kop. 30

Jest to popularny wykład całej ekonomii politycznej, dostępny dla szerokiego kół.

Treść rozdziałów: Działalność gospodarza. — Podział ekonomii politycznej. — Wytwarzanie. — Przyroda. — Praca gospodarza. — Ilość pracy w społeczeństwie. — Podział pracy i kooperacja. — Inne warunki wytwórczości pracy. — Kapitał, jego wytwarzanie się i zużycie. — Podział kapitału. — Podział dochodu. — Renta. — Zysk. — Płaca zarobna. — Zmiany wielkości i renty, zysku i płacy. — Wymiana. — Wartość. — Miara wartości. — Cena. — Pieniądze. — Wartość pieniędzy. — Pieniądze papierowe. — Kredyt. — Banki i stowarzyszenia. — Stowarzyszenia wytwórcze i spożywcze. — Trades-Uniony: Rycerze pracy. — Stowarzyszenia fabrykantów (kartele i trusty).

Adres: ulica Niecała
Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodni.

Wyszedł z druku zeszyt XLIII.

CZYTELNIA NAUKOWA

posiada 80 czasopism przeważnie naukowych, pedagogicznych, filozoficznych, społeczno-ekonomicznych i pedagogicznych w językach: polskim, ruskim, francuzkim, niemieckim i angielskim.

Otwarta codziennie od god. 10 rano do 10 wieczór.

W niedziele i święta od 11 r. do 3 p. p.

Adres: Nowy-Swiat Nr. 34 m. 4.

DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



„EXSICCATOR“

Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wyśłam franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

DIWANY, wszelkie pokrycia meblowe, Koldry, Kapy, Chodniki, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie Giełżyńskiego, Marszałkowska 137.

Wydawnictwa „Głosu“

KWESTYJONARYJUSZ

W sprawie czytelnictwa ludowego

napisali

A. Potocki i Z. Wasilewski

Warszawa 1890 r., str. 24 w 16-cc

Cena 10 kop.

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?

Kwestyjonyusz w sprawie wydawnictw ludowych

przez

M. BRZEZIŃSKIEGO.

Warszawa 1890, str. 16 w 16-cc

Cena 5 kop.

Nakładem Głosu wyszło z druku dzieło

Herberta Spencera

pod tytułem

INSTYTUCYJE POLITYCZNE

tłómaczone z oryginału przez
J. K. Potockiego.

Cena rs. 2 kop. 40.

Dla prenumeratorów „Głosu“ rs. 1 k. 80. Są do nabycia jeszcze I i II zeszyty INSTYTUCYJ POLITYCZNYCH po cenie 80 i 60 kop. Dla prenumeratorów „Głosu“ cena 60 i 45 kop.

SZKICE FOTOGRAFICZNE

Z

„Zakutego-Grodu”

przez

Kazimierza Glińskiego

(Dalszy ciąg).

Stary sługa księzowski wnet przez próg się wsunął.

— Weź te winogrona i zjedz, a z bukietem zrób, co ci się podoba.

— Winogrona zjedz, a z bukietem zrób, co ci się podoba, bardzo ładnie!...—powtórzył Kasper, posuwając się naprzód...—A z temi koszykami co ksiądz proboszcz rozkaże zrobić?... w piec rzucić?

— Co ci Kasprze?—zawołał ksiądz Anioł.

— Co ci Kasprze!—ja pytam...

— Ten pani Adeli, a ten panie Honoracie odniesiesz.

— Ten pani Adeli, a ten panie Honoracie odniesiesz, słusznie! Do kogo należą, to tym oddać potrzeba... *Recte et directe!*...

— No, idź już, a nie jedz wszystkiego naraz, bo rozchorujesz się jeszcze — odezwał się ksiądz Anioł, kładąc rękę na ramieniu Kaspra.

— Idź już, a nie jedz wszystkiego naraz, bo rozchorujesz się jeszcze, naturalnie!... Jeść można, ale zawsze z umiarkowaniem, to i zdrowiu nie zaszkodzi i na dłużej wystarczy...

— Rozumujesz bardzo dobrze... No, marsz!

— Rozumujesz bardzo dobrze, a już ci!... ksiądz rektor słusznie do mnie mówi: *si tacuisses, philosophus mansisses*, ale ba!—szepnął Kasper, za drzwi się wynosząc.

Wyszedł, ale jeszcze ksiądz Anioł słyszał, jak mrucał za drzwiami:

— Winogrona zjeść... *conditio sine qua non!* bo o to i chodzi i do strawności pomaga; a te piwonije czy słoneczniki wyrzucić, bo świństwo, w nosie kręci, a żadnego pożytku konstrukcyi cielesnej nie daje. Wy do gęby, a wy na śmietnik, a koszyki oddać komu należy, choć powiedziawszy prawdę, chodzić tam z niemi niebardzo się i chce, bo podziękować, podziękują, ale żadna z tych koczokodanie jednego grosza nie da na niuch tabaki...

Winogrona na tapczan wysypał, lecz z bukietem okrutnie się obszedł.

Wyszedłszy na dziedziniec kościelny, zaczął nawoływać młodego wyżła, którego sztuk różnych uczył.

— Sa tu! sa tu!...—rozlegał się głos Kaspra po obejściu seminaryjskiem.

Pies pędem przyleciał, a widząc bukiet w rękę swojego pana, zaczął podskakiwać do góry.

— Poczekaj *witrohonie*... subordynacja!... No, formuj front!...

Zbliżył bukiet do ust, plunął i cisnął daleko.

Pies skoczył...

— Podaj, szelmo!—zawołał Kasper, podchodząc do wyżła, który miotał na wszystkie strony podarunkiem pani Honoraty. Ale pies, widząc zbliżającego się z groźną miną profesora, chwycił do pyska bukiet i dalej w nogi. Nagle warknął i odskoczył... Kolec róży w nos go ukuł. To dało możność Kasprowi powtórzyć eksperyment.

— Sa tu, łajdaku! bo dostaniesz pięścią w kark.

Nachylił się, podniósł bukiet i na dawne miejsce pod mury seminaryjskie powrócił.

Pies prychnął, parę razy łapą macnął się po zranionym nosie i zaczął iść za Kasprem, kręcąc ogonem i rozumnymi oczyma w oczy nauczyciela patrząc.

Kasper stanął, podniósł wskazujący palec i machając nim przed nosem niezadowolonego z tej manipulacji wyżła, mówił mentorskim głosem:

— *Disce puer ego te faciam* mości-panie, tak król Salomon do Jana z Arymatei mówił...

Tu palnął po pysku znużonego morałami.

— Nie chwytaj durniu za palec, a słuchaj, jeżeli na ludzi chcesz wyjść... Tfu-tfu!...

Plunął i cisnął.

Pies rzucił się jak szalony, ale zaledwie dopadł bukietu, zaskomlił i odskoczył, potem przysiadając na przednich łapach i brzuchem przylegając do ziemi, zaczął obiegać na okół, poszczekując zawzięcie.

— Czuje, że od Honoraty—mruknął Kasper—mądra sobaka!... a ksiądz rektor powiada, że nic z niego nie będzie... Oho!...

Kasper Honoraty nie lubił. Kiedyś w kościele kazała mu krzesło przynieść, na co on odpowiedział, że pan Jezus mógł trzy dni wisieć na krzyżu, to ona w ciągu mszy jednej pokłęzczyć może. Został więc oskarżony, otrzymał burę i od tej chwili uczuł antypatyję do niej. Nienawiść swoją przelał i w wyżła. Rzucił mu kość naprzykład i gdy pies z apetytem brał się do niej, wtedy odzywał się:

— Honorata ogryzła!

Pies odskakiwał jak oparzony, prychnął, warczał, a nieraz i wyć zaczynał, za co otrzymywał kawał pieczonego mięsa z dodatkiem:

— Dosia smażyła!...

To też i teraz przywołał go do siebie i gładząc po łbie mówił:

— Mądryś! zrazy z kaszą otrzymasz!...

Kasper twierdził, że gdyby wyżeł jego urodził się był człowiekiem, byłby jednym z najzdolniejszych ludzi.

Bukiet, potargany straszliwie, leżał na środku dziedzińca i gdyby w tej chwili Honorata nadbiegła, w całym seminaryjum nielada byłoby zamęt. Ale w pół drogi zatrzymała ją pani Adela niezwykłym wypadkiem dnia tego, jakim był... list Dosi. Ślazowe ciastko poszło w zapomnienie, na czem nie Kasper stracił, bo takimi rzeczami, pochodzącymi szczególnie z rąk Honoraty, obowiązek miał gardzić: Nimby je do ust włożył, w studziennej wodzie obmyłby pierwej...

— Więc czytałaś?

— Na własne oczy.

— I cóż odpisała?

— Będę.

— Najoczywistsze rendez-vous!...

— Ale słuchaj—no, pani, słuchaj dalej!...

Najbezwstydniej pisze: wyprawiłam męża *par-forcel*

— *Par-force?*...

— Tak, tak.

— Ajajaj!

— Widocznie biedak przeczuwał, tak jechać nie chciał, tak się wymawiał, zwlekał, tłumaczył się zmęczeniem, słabością, ale ta „jedź i jedź!...”

— Dokonała swego!—westchnęła Honorata... Ale ksiądz Anioł, ksiądz Anioł?...

— Oczywiście, że się nie spodziewa, nie domyśla niczego... To też pewna jestem, że z pogardą odtrąci ją od siebie i wtedy, gdy mu się

oczy otworzą, przyjdzie do nas i opowie nam całą historję o tej Pntyfarze. A zresztą... widzi pani... i Adam zachwiał się w raj; lecz nasz obowiązek jest czuwać, by młody, niedoświadczony kapłan nie stał się pastwą tej Pompadury. ...Ach! krzyknęła nagle, oto jest i brylant!...

Jakokowicz wyglądał odświętnie. Surdut miał granatowy, kamizelkę białą pikową, spodnie szaraczkowe w brązowe paski. Spieszył na obiad do mecenasa Rotarskiego, bo to była sobota, a pan mecenas celował w dysponowaniu postnych obiadów. Szedł krokiem pośpiesznym, ale szybkie ruchy gestykulujących niewiast choć na chwilę wstrzymać mu się kazały.

Teraz kolej opowieści padła na Honoratę; wiedziała już wszystko, pani Adela mogła więc odpocząć nieco, aczkolwiek niechętnie. Jakokowicz słuchał z uwagą, aż gdy doszło do wyprawienia męża *par-force*... drgnął, przymrużył oczy, jakby chciał ukryć myśli, które nim zakotyssały.

— Świętości moje! — zaczął po chwili,—to straszna historyja!... Ale nie wiecie czasem, o której porze ma nastąpić ta wizyta?

— Pytać nie uchodziło—rzekła Adela. (Rzeczywiście zapomniała).

— Delikatnie z za płotka, coś tam się daby wybadać — szepnął Kajcio.—Ale, to już moja rzecz!

— I wyobraź sobie, duszo moja, — ciągnęła Honorata—że ten nieszczęśliwy przeczuwał. Położył się do łóżka, udał chorego, bańki kazał sobie postawić, a ta Katarzyna i stamtąd go wyciągnęła *par-force!*

Niewinna rozmowa trwała z kwadrans jeszcze i nieprędkoby się skończyła, gdyby nie pośpiech Jakokowicza, który, pożegnawszy ucałowaniem rączek dwie świętości, ruszył naprzód, a idąc tak medytował:

— Wyprawiła Henryka *par-force*... Sprytnie!... teraz dowiedzieć się tylko mi wypada, kiedy tamta wizyta nastąpi... Bo, że mnie się spodziewa, to jak amen w pacierzu. Męża za drzwi, księdza przyjmie przed wieczorem, żeby niepotrzebnie czasami nie nadszedł i, ucztą Lukullusa!... Aa, sprytna! alem i ja nie w ciemnie bity, żem tak wszystkiego domyślił się odrazu, przeczuł po prostu. A dlaczego? Bo między nami jest wzajemna sympatyja, sympatyjka, chi, chil... Dawno się na to czekało!... Co za rozkosz jeść sorbet taki, taką ambrozyję smoktać!...

Jednem uchem w lewo, drugim w prawo ruszył i szepnął:

— Wyprawiła *par-force!*.. to bardzo dobrze, bo lubości przeszkadzać nie będzie strach żaden, że tam za drzwiami ten Henryczysko z kijem stać może...

Skreślił na seminaryjski dziedziniec, lecz księdza Anioła nie zastał.

Poszedł do pani Troińskiej.

Tu już wszelkie wątpliwości, jeżeli miał jakie, jak dym pierzeły.

— Głupie babska, głupie!—myślał o przyjaciółkach swoich, łapią—grzechotkę u własnego ogona, a cieszą się. Zamydlę im lepiej oczy, żeby aż do ślepoty popuchły.

Szedł na obiad postny do mecenasa, lecz postanowił zjeść przed wieczorem parę funtów roastbeifu, popić likworem, przy czem nie zawadzi wcale czarna, a bardzo, bardzo mocna kawa.

U mecenasa obiad skończył się około godziny piątej, sporo jeszcze czasu pozostawało do wieczora. Gościnnie gospodarz radził, by idąc w jego ślady, spać poszedł, ale Jakokowicz,

choć na bardzo wygodnej kanapie się rozciągnął, zdjawszy przedtem wszystko, co miał na sobie, ażeby żaden szczegół ubrania ze swej świeżości nie stracił, spać nie mógł. Myśl jego zajęta była różowemi obrazami chwili bieżącej, której oczekiwał z jakimś wewnętrznym drżeniem; pragnął i bał się zarazem, ale w rezultacie przygotowany był na wszystko. Niepokój jednak nim miotał, bo na jedną kartę stawiał wyrobioną trudem niemałym opinię świętego człowieka, a co najważniejsza—ów haracz, który mu płacono, do którego już miasto przywykło i niemal za swój moralny obowiązek poczytywało. Ale nie! polował dotąd na wróble, teraz sam jarząbek w sidła mu się wsuwa. ...Rozkoszny ptaszek!

Zaczął się uśmiechać i obrywać piórko po piórku i delectować się specyjałem, aż ślina mu nabiegła do ust i wąską strugą spłynęła po obu stronach policzków.

— Niech się pośliznie raz tylko, nie wstać jej później—szeptał Jakokowicz.—Osmarowałbym tak, że rodzona matka by nie poznała.

W ten sposób rozmyślając, oczekiwał wieczoru.

Na godzinę przed zmrokiem pożegnał mecenasa, do którego zaczęli się schodzić znajomi na partyję winta, i udał się do restauracji dla nabrania potrzebnych sił; wypił dla animuszu parę kieliszków likworu przy czarnej kawie, i nowokupiony jedwabny cylinder wsadzwszy na tył głowy, jak tylko zmierzch padać zaczął, udał się bocznymi uliczkami do domu, gdzie mieszkała Dosia Troińska.

Ciemniało bardzo powoli, Jakokowicz się niecierpliwił.

— To podłe słońce zajść nie chce! — mruzczał.

Wreszcie cienie grubemi zaczęły napływać warstwami, tu i tam zamigotały gwiazdy.

Pod parkanem, otaczającym ogród, Jakokowicz, jak złodziej, przysunął się do domu. Podniósł rękę do dzwonka, ale zawahał się.

— Jeżeli służby nie odprawiła?—szepnął.

Zbliżył się do ogrodowej furtki.

— Aha, otwarta!

Wszedł do ogrodu i żółtym piaskiem wysypaną ścieżką do balkonu się skierował.

Nagle się wstrzymał, do głowy mu uderzyła krew...

Dosia leżała na szezlongu, biały szlafroczek spływał po jej smukłej kibici i wyraźnymi linijami zakreślał śliczne kształty ciała.

Jakokowicz zbliżył się na palcach.

— Niby śpi—szepnął.

Obejrzał się, przysunął ostrożnie stojący niedaleko taburet i usiadł.

Wargi mu się trzęsły, ruch uszów zdradzał niepokój, tylko blask oczów zielone, kocie barwy przybierał.

Nagle powstał, pochylił się, przykląkł i ręką trzęsącą się objął ją w pół. Dosia krzyknęła jak dziecko, zbudzone hałasem nagłym, i skoczyła, ale Jakokowicz za obie ręce ją chwycił i do ust swoich przycisnął...

— To ja, ja...—wybełkotał—twój Oberon!...

Głos Jakokowicza zbił Dosię z tropu. Kajcio uchodził za takie bezpłciowe stworzenie, że sama nie rozumiała, co mógł oznaczać ten napad niespodziewany. Chciała już głośnym śmiechem parsknąć, ale kureczowy, nienaturalny jakiś ruch rąk Jakokowicza, oburzył ją..

— To ja, twój Oberon... — szeptał...—Przypatrz się Doroteczko, że to ja!

— Czy pan się upiłeś?—zawołała Dosia, silnym rzutem wyrwijając się z rąk napastnika.

— Upiłem się, ale pięknościami twojemi, tak, tak!... No, nie udawaj, jak i ja nie udaje!

Pomknął się znów ku niej, ale powstrzymał go rozkazujący, podniesiony głos Dosi...

— Ni kroku, bo w twarz pełnę!

Jakokowicz uczuł chłód jakiś, jakby ktoś strumieniem zimnej wody nań prysnął...

— Na mnie?—wyszeptał.

Chwilę trwało milczenie.

— Chodź pan za mną do salonu—odezwała się Dosia.

Jakokowiczowi w uszach zaczęło szumieć; nie rozumiał nic, co się w koło niego działo. Pozbawiony woli, oporu, szedł za rozkazem, którego niesłuchać nie był w stanie.

W salonie było ciemno; dotknięty ręką Dosi zabełkotał gwałtownie dzwonek...

Ktoś wszedł.

— Światła.

Kiryło wniósł lampę, postawił na stole i wyszedł.

Dopiero Jakokowicz przeraził się, ujrawszy przed sobą nie uległą kochankę, lecz pewną siebie władczynię.

— Zechcesz się pan wytłumaczyć ze swojego postępu!—odezwała się Dosia, głosem powolnym, ale tak silnym, że Kajciowi kolana drgnęły. Czuł, że walną bitwę przegrał; oby się jakkolwiek wycofać teraz, nie oddając głowy pod miecz! Opór daremny, kunktatorstwo nic nie pomoże; pokora niebo przebija.

Uderzył w pokorę.

— Świętości moje—szepnął—i archanioł zapomnieć się może, cudo takie zobaczywszy—jak pana Boga kocham, niezawodnieby się zapomniał... Ale-le.

— Co, alele?

— Ośmieliłaś mnie sama broszeczko...

— Ja?—przerwała Dosia...

Jakokowicz potaknął ruchem głowy.

— Przyjdź pan do przytomności—dodała.

— A któż mnie do O... Oberona przyrówna?...

Dosia wybuchnęła śmiechem.

— Pan sam siebie zrobiłeś królem elfów; ja inną postać miałam na myśli, mówiąc o Szekspirowskim *Śnie nocy letniej*.

— Jakaż tam inna podobieństwem zbliżył się do mnie może?

Na stole leżały ilustrowane dzieła Szekspira; Dosia otworzyła tom trzeci i pokazując na *Spodka* z głową osłą—odezwała się.

— Oto jest pański portret!

Jakokowicz pochylił się i wpatrzył w podobiznę obrazu...

Krew pełną falą napłynęła mu do twarzy, szcęknęły zęby, uczuł ciepło, jakby mu kto policzek wymierzył.

— Podobny?—spytała Dosia...

— Podobny — odpowiedział zbity z pantalyku.

— Teraz, zapoznawszy się pan sam z sobą, możesz wyjść, oczywiście bez zamiaru powrotu kiedykolwiek. Dla Oberonów takich, jak pan, drzwi mojego mieszkania zamykają się zawsze.

To rzekłszy, wyszła z salonu.

Jakokowicz stał długo, nie mogąc oczu oderwać od swojego portretu; wpatrywał się jak w tęczę, to w prawo to w lewo uszami strzygąc...

— Podobny—szepnął raz jeszcze, jakby kto wątpić mógł o tem.

Był cymbałem, na którym w tej chwili każdy mógł wygrać, coby mu się żywnie podobało, ale muzyka obecnie konieczną była. Wreszcie wstrząsł się, wyprostował i zawołał jakimś głosem zdumienia:

— Osioł!...

Dreszcz przeszedł mu po ciele...

— Reputacja moja—jęknął,—a z nią docho- dy moje przepadły, jak amen w pacierzu.

Zrobił krok do wyjścia, lecz stanął nagle. Zdawało mu się, że w sieni koniecznie spotka Henryka, który ze skóry jego zechce pergamin wykreć.

Wszystkie włosy, w jakich posiadaniu był jeszcze, stanęły mu na głowie. Nie myślał teraz o rozplywających się dochodach; trwożyły go procenty, jakie prawdopodobnie wypłacić mu zechcą. Dotknął czoła, uszów i w pół omdlony runął na fotel.

— Będą kije, zerznąż mnie, zerzną! — wyszeptał.

Zerwał się na równe nogi.

— Patryarchowie i serafinowie—ratujcie!

Chciał uciekać, ale sił mu zabrakło.

— Nie pójdę, nie! — rzekł po chwili sam do siebie.—Plackiem się rozciągnę, makiem rozsieję, ale musi mi przyrzec, że przed mężem ni słówka nie piśnie.

Upłynęło kwadransów parę, Dosia, niespodziewając się zastać Jakokowicza, wróciła do salonu.

— Pan jeszcze tutaj? — spytała, stając na progu.

Jakokowicz milczał chwilę...

— Nogi nie słuchają — rzekł, robiąc gest rozpaczliwy.

— Mogę zawołać Kiryła, by panu dopomógł.

Zbliżyła się do dzwonka.

— Nie, nie, na co taka parada?... Ja tylko tak... niby, ot... niby... tak... boję się!

— Mojego męża! — rzekła Dosia z przyciskiem.

— Tak, to jest... niby nie — płatał Jakokowicz...—Tylko... żeby tego nie rozmazywać... bo to niby ja zawiniłem, a tymczasem ucierpieć może opinia.

— Moja?... o! pan jej szkody nie jesteś w stanie wyrządzić. Nie o nią zresztą pannu idzie, boisz się pan mojego męża, to rozumiem!

— No, niby tak...—wyszeptał Jakokowicz...

— Dwie pan masz piękne zalety: podłość i tchórzostwo.

— No tak... niby tak!—bełkotał Kajcio, zostając pod strachem gniewu Henryka.

— Możesz pan być spokojny—ciągnęła Dosia.—Miłość pańska ani mi ubliżyć, ani zaśzczytu przynieść nie może; by zaś czyją obrazę uczuć, potrzeba, by ten ktoś choć trochę był człowiekiem, a pan z nim wspólnego nic nie masz. Zanadto zaś kocham swojego męża, ażebym zdolną była choć na przelotną chwilę zasmucić go wstrętnem wspomnieniem o panu. Do powiedzenia nie mam nic więcej.

Jakokowicz prawem uchem poruszał lekko, brwi podniósł i patrzył na Dosię wytrzeszczonymi oczami. Ta Dosia wiotka, powabna, anielska, zdawała mu się w tej chwili być uobowaniem tyranii. Przekonał się jednak, że w oczach jej znaczy tyle, co jakies bydlę parszywe, co go pocieszyło i uspokoiło zarazem. W ukłonach niskich do drzwi zaczął się cofać i gdy przedmiot jego miłości znikł mu z oczu, zawrócił się i jak bomba wypadł na ulicę.

Jakim sposobem trafił do swojego mieszkania, nie wiedział. Czuł tylko, że drżał jak w febrze i wykonywał ruchy jakies mimowolne, gwałtowne wszystkimi organami swojego ciała.

(Dalszy ciąg nastąpi).